

VarArt

pismo kulturalno-literackie
czerwiec 2022 (55)



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Szklany świat jest inny niż myślisz (widzisz)

Szkoło jest jednocześnie sztuczne i naturalnie. Podobnie z odbiciem w lustrze, niby to samo, a jednak nieco inne od oryginału w barwie i symetrii. Nie każdy od razu to zauważy. W przyrodzie wiele organizmów poprzez zjawisko mimikry udaje kogoś, kim nie jest – podszywa się pod obraz innego gatunku lub własnego otoczenia.

Szkoło jest pierwszym tworzywem sztucznym wynalezionym przez ludzkość. Najpierw dla ozdoby, potem w celach użytkowych. Powstaje z naturalnych składników: piasku (tlenek krzemu), sody (węglan sodu) i wapienia (węglan wapnia) w temperaturze 1500 stopni Celsjusza, a więc w ogniu. Ten także może mieć źródło naturalne lub sztuczne. Pisząc o tworzywie sztucznym, mam na myśli to, że wytworzone jest przez człowieka. W tym kontekście człowieka stawiamy poza przyrodą. Kultura kontra natura – kiedyś było to upragnioną chlubą, teraz wydaje się nam unikaną zmorą i nieszczęściem. Skoro muszla małża, perła czy wosk pszczeli są wytwarzane przez zwierzęta i traktujemy je jako elementy naturalne, to dlaczego wytwory innego gatunku – Homo sapiens – traktujemy jako sztuczne? To w jakimś stopniu wyróżnianie człowieka i jego kultury.

Subiektywne wyróżnienie, a jednocześnie wyobcowanie, wypchnięcie z natury... Jesteśmy częścią przyrody i częścią ziemskiego ekosystemu. Podlegamy tym samym prawom i procesom. Gdy za bardzo postawimy się obok przyrody, to wiele stracimy, łącznie z samozniszczeniem. Może więc lepiej nie stawiać się obok i w konfrontacji?

Szkoło w postaci butelek jest stosunkowo duże, ale szybko się rozbija i zmienia w drobne kawałki, niczym oszlifowane erozją ziarna piasku. Z piasku powstało, w piasek się obraca. Są już nawet kolorowe plaże, utworzone z kawałków butelek, naturalnie oszlifowanych przez morską erozję. Wyrzuca się na brzeg stłuczkę szklaną (śmieci) i czeka, aż przyroda zrobi swoje. Stępione ostre krawędzie już nikogo nie zranią. Powracają do natury.

Szkoło pozostawione w lesie, np. w postaci butelki, nie tylko szpeci i rani ludzkie poczucie estetyki, lecz także zabija. Wywołuje śmiertelne pożary lub jest zabójczą pułapką dla małych zwierząt. Łatwo do niej wejść, gdy dodatkowo zwabia małe owady pozostałością słodkiego napoju lub później padliną z rozkładających się bezkręgowców. Przez wąską szyjkę trudniej jest jednak wyjść. Mali mieszkańcy Ziemi są uwięzieni w butelce niczym w zbombardowanym schronie. Są tacy, co zbierają wyrzucone w lesie butelki, czyszczą je i malują, by w ten sposób przywrócić im piękno, sens i użyteczność.

Innym lustrem w przyrodzie jest mimikra, czyli upodabnianie się do tła lub innego organizmu, by być mniej widocznym. Jest niczym odbicie w zwierciadle, które zmyli drapieżcę albo pasożyta. Lub przeciwnie – być bardziej widocznym, lecz sprawiać wrażenie kogoś niebezpiecznego poprzez upodobnienie się do jakiegoś groźnego,

trującego lub jadowitego zwierzęcia. W przyrodzie jest wiele gatunków jadowitych, żądliwych lub trujących dla swoich prześladowców. Lepiej więc ich nie atakować i nie zjadać, lepiej omijać z daleka. Produkcja trujących toksyn jest kosztowna, tak jak ryzykowne jest atakowanie i żądlenie. Trzeba przeznaczyć część swojej energii i zasobów na produkcję takiej biologicznej broni. Ale leniwi mogą się kształtem i kolorem zbliżyć do trującego gatunku, niczym lustrzane odbicie stwarzać wrażenie bycia kimś innym. I nie trzeba przeznaczać energii na produkcję własnej broni chemicznej. Żądłace osy mają dobrze widoczne żółte i czarne pasy na swym ciele. Podobnie wyglądają niektóre motyle lub muchówki. Nie mają żadeł, lecz są niczym lustrzane odbicia swoich pierwowzorów. Inne owady mają wzór na skrzydłach przypominający oczy dużego zwierzęcia. I nagłym pokazaniem fałszywych oczu straszą swojego napastnika, który myśli, że zamiast smacznej ofiary pojawił się groźny drapieżnik i trzeba zmykać, by samemu nie być zjedzonym.

Szkoło jest zarazem prawdziwe, jak i fałszywe, złudne. W tej samej butelce dostrzeżesz pociągające piękno i szpecące śmieci. Mimikra jest jak lustro, czyli szkło ze srebrem – pokazuje obraz niby prawdziwy, a jednak oszukany. Mimikra tworzy iluzję groźnego świata. Nawet pod mrówki podszywają się niektóre chrząszcze czy gąsienica ćmy – potwory bucynówki. Nie wszystko jest tym, czym się wydaje. Świat wokół nas wymaga uważności w obserwowaniu i interpretowaniu.



Rys. Karolina Lewandowska

W NUMERZE 01/2022:

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Szklany świat jest inny niż myślisz (widzisz)

04 WYWIAD

Z MACIEJEM MILLEREM rozmawia MONIKA STĘPIEŃ.

To film reżyseruje ciebie, a nie ty jego

08 PROZA

KAJA WILEŃGOWSKA: Poker prawie rozbierany

10 PROZA

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI: Pod Lipą

13 DEBIUT POEZJA

ADRIANNA WIECZOREK, JULIA JANUSZEWSKA: Wiersze

14 POEZJA

KATARZYNA GÓRA: Wiersze

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

TADEUSZ BURNIEWICZ: Dotykam, myślę, tańczę

16 GALERIA

TADEUSZ BURNIEWICZ: Autoporterty

18 KRÓTKA FORMA

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Olsztyńskie „ikony” – Centaurus

20 RECENZJA

KATARZYNA GUZEWICZ: Historie profesora o Emilii Sukertowej-Biedrawinie

21 INICJATYWA

MARTA ANDRZEJCZYK: Spojrzenie pokoleniowe

22 FELIETON

MONIKA STĘPIEŃ: Supra speculum

23 INICJATYWA

MAGDA I MARCIN: Właśnie Olsztyn

24 RECENZJA

ANITA ROMULEWICZ: Najkrótsze legendy świata

25 REPORTAŻ

KAROL FRYTA: Piętnasta republika

26 INICJATYWA

WIOLETTA ANUSZKIEWICZ, ZBIGNIEW MIERUŃSKI – Stowarzyszenie Gołdapski Fundusz Lokalny: Mazurskie okna pamięci

28 SZTUKA

TADEUSZ BURNIEWICZ: Intensywnościomierz 1976

29 REGION

MAGDALENA WAŁKUSKA: Obraz własny na szklanej płycie

30 PROZA

ALEKSANDRA DOBIES: Dom, którego nie było

Lustro...

...potłuczone przynosi 7 lat nieszczęścia, a całe bywa bramą do innego świata. Tworzymy je ze szkła, znajdujemy w tafli wody, dzięki niemu kręcimy filmy, robimy zdjęcia. Jest przestrzenią spojrzenia, symbolem życia, przeznaczenia, dumy i samoświadomości. Inspiruje, rzuca kłutwy i obnaża prawdę. I właśnie takie lustra znajdziecie m.in. w codzienności Millera, wierszach Góry, Januszewskiej i Wieczorek, malarstwie Burniewicza, projekcie Andrzejczyk i w Mazurskich Oknach Pamięci.

Odkryjcie, co kryje się w waszym supra speculum...

Po drugiej stronie Redakcja...

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 01/2022 (54)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Urszula Maciąg,

Anna Rau, Anita Romulewicz, Monika Stępień

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Okładka przód: Przemek Kozak, skład: Iwona Bolińska-Walendzik

W numerze wykorzystano fotografie: Właśnie Olsztyn

Okładka tył: Iwona Bolińska-Walendzik (druk typograficzny, cykl „Patroni 2022 r.”)

Druk: „Cutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym

Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z MACIEJEM MILLEREM rozmawia MONIKA STĘPIEŃ

To film reżyseruje ciebie, a nie ty jego

Z reżyserem i operatorem Maciejem Millerem z Olsztyna o zadawaniu pytań, zaangażowaniu, bliskich relacjach i międzynarodowych festiwalach rozmawiała Monika Stępień.

Monika Stępień: Zacznijmy od początku – pierwszego ujęcia...

Maciej Miller: Jest to płatanina różnych przypadków, pokrewnych zainteresowań i dobrych ludzi, których spotkałem na swojej drodze. Pierwszym momentem było kupienie mi przez rodziców aparatu pod choinkę, chociaż myślałem, co prawda, że był to Święty Mikołaj (śmiej). Wtedy zaczęły się pierwsze zdjęcia, zabawa sprzętem i zaobserwowanie przez mojego wujka, że to, co robię, ma sens, mam tzw. dobre oko. Jego wsparcie i moje zainteresowanie jazdą na BMX-ie wraz ze znajomymi, którzy odnosili sukcesy w tej dziedzinie, przełożyły się na pierwsze filmiki poświęcone właśnie temu sportowi. I to zadziało – podobało się ludziom. Początki to właśnie te sportowe filmiki, jednak od zawsze poszukiwałem czegoś więcej i kiedy doszedłem do granicy, przy której dotychczasowa praca zaczęła mnie nudzić, postanowiłem dalej się rozwijać. Zaczęło się planowanie szkoły filmowej... Zdarzały się także szkolne kółka filmowe, konkursy, pierwsze zlecenia. Nie było to związane z kinem, a raczej małymi, komercyjnymi zleceniami. Takie były początki.

Trwanie w pasji filmowania było odpowiedzią na własne zainteresowania czy także na potrzeby/możliwości wyptywające ze środowiska?

Kiedy to ewoluowało, zobaczyłem, że jest w tym jakaś siła. Jednym z pierwszych, świadomych kroków był film o moim wujku, który opiekuje się swoją schorowaną mamą. Wysłałem go na Ogólnopolski Konkurs Filmów Niezależnych OKFA w Koninie i właśnie tam po raz pierwszy zobaczyłem, jak to, co robię, działa na innych. Jak okazało się po seansie, na widowni była kobieta, która taką sytuację zna ze swojego życia i myślała, że jest w tym osamotniona. Ze wzruszeniem opowiadała, że dowód na to, że inni też tak mają, zdiął z niej ciężar poczucia, że zamykanie się w domu z chorym rodzicem i poświęcanie mu całego życia to nic dziwnego.

Czy edukacja filmowa zmieniła coś w Twojej twórczości?

Techniczne aspekty twórczości to najmniej istotny szczegół tego, czego można nauczyć się w szkole filmowej. To przede wszystkim cenne spotkania z czynnymi zawodowo ludźmi, którzy mają niepowtarzalne doświadczenia na koncie. Oczywiście trzeba zawsze pamiętać o tym, co można wziąć, a o czym warto zapomnieć, co odrzucić i robić po swojemu. Dla mnie to był dobry punkt stabilizacji, rozjaśnienie

tego, gdzie szukać, rozpoznawać potencjał w bohaterze lub historii. Nadbudowywać świadomie fundamenty.

Czego musiałeś się oduczyć?

Początkowo chciałem wszystko mieć pod kontrolą. Było to niezwykle stresujące i zamykające. Miałem plan od początku do końca, a tu okazuje się, że wiele ciekawych rozwiązań, na które nie wpadłbym wcześniej, może zrodzić się „na gorąco”. Trzeba być na to otwartym i filtrować, co może być przydatne, a co nie. Zwłaszcza w dokumencie najciekawsze jest to, że w pewnym momencie to on przejmuje kontrolę nad tobą. To film reżyseruje ciebie, a nie ty jego. W pewnym momencie zaczyna iść w takim kierunku, którego się nie spodziewałem i ja się czegoś uczę. Idzie się za bohaterem, emocją, sytuacją.

Kino zaangażowane, które rezonuje w społeczeństwie i staje się przyczyną zmian, jest Ci bardzo bliskie...

Tak. Wydaje mi się, że nie ma recepty na kino, ale ja czuje, że właśnie po to to robię. Kiedy coś tworzę, to największym sukcesem jest dla mnie to, że wpłynąłem na czyjś światopogląd lub poszerzyłem, zmieniłem go, skłoniłem do refleksji.

Kiedy zajmujesz się trudnymi tematami jako twórca – to czy w Tobie taki charakter pracy coś zmienia? Jesteś bardziej wyczulony na to, co cię otacza lub uważniej słuchasz opowieści codziennych?

Tworzenie kina dokumentalnego jest długim procesem – nie da się go wygenerować pod wpływem impulsu. Mój ostatni film „Opowiedz mi o mnie” tworzony był przez dwa lata, a to przecież krótkometrażowy film. Nawet przy czymś tak z pozoru niewielkim jest ogrom pracy. Zaczął się on rzeczywiście od opowieści innych – na temat natrafiłem w Internecie. Poprzez Facebooka i fora poznałem dorosłych, którzy jako dzieci trafiali do adopcji, a w dorosłym życiu poszukują swojego początku, swoich rodziców. Wszystkie historie były niezwykle emocjonalne i to mnie poruszyło. Chciałem poznać ten świat, który ciężko było mi w ogóle sobie wyobrazić. Chciałem poznać kogoś takiego, dowiedzieć się, jak żyje, co myśli i co czuje. Kamera to też dobry pretekst, żeby do takiego „innego” świata wnikać i przez to zobaczyć swój świat trochę inaczej. To zawsze jest jakaś lekcja.

Magda, bohaterka filmu, nie poszukuje przecież rodziców, aby móc z nimi zamieszkać, czerpać z nich – chce odkryć swoją tożsamość, korzenie.

Ekstremalnie delikatna płaszczyzna. Jak zacząć proces współpracy z kimś takim? Kamera jednak krępuje, narusza naszą intymność...

Tak, to jest główna część tego mozolnego procesu – nawiązanie relacji. Przekłada się to na swobodę bohatera przed kamerą, unikanie tzw. podgrywania, aby otworzył się na obecność kamery i reżysera. Uważam, że podstawą jest to, żeby swojego bohatera zwyczajnie, po ludzku, rozumieć i lubić. Wtedy nawiązywanie takiej relacji i wzajemna otwartość jest zupełnie naturalna i dwukierunkowa. Obdaruje nas tym, co ma gdzieś głębiej w sobie i pozwoli nam być przy tym z kamerą. Wiąże się z tym też duża odpowiedzialność.

Ta naturalność jest przecież niezbędna. Trochę jak wypełnianie ankiety anonimowej i podpisywanej nazwiskiem – ta pierwsza będzie szersza, druga pozwoli nam się lekko wybielić, dostosować do tezy...

Tutaj kluczem jest zaufanie. Anonimową ankietę wypełniamy śmieiej, bo wiemy, że nie odbije się to na nas. Nasz bohater też musi czuć się bezpiecznie, znać nasze

dobre intencje i wtedy dopiero jest szansa, że zechce się przed nami otworzyć ze swoimi emocjami. Nie zdarza się to często i jest bardzo wyjątkowym gestem, z którym trzeba delikatnie się obchodzić, bo przecież nie chcemy go skrzywdzić. Jest taka historia o Kieślowskim, anegdota. Otóż reżyser bardzo chciał robić film dokumentalny o karze śmierci, chodził więc na procesy potencjalnych skazańców z kamerą. Jednak kiedy się z nią pojawiał, nikt nie dostawał kary śmierci. W wyniku tego spostrzeżenia porzucił projekt i zaczął przychodzić na rozprawy z kamerą bez taśmy, by samą jej obecnością ratować skazanych. Nie wiem, w jakim stopniu to prawda, ale mocno obrazuje działanie na nas kamery, kiedy nie jesteśmy pewni, czy będzie to dla nas bezpieczne.

Czyli nie o każdym możemy nagrać film?

Wydaje mi się, że tak. Proces poznawania się i zbliżania do siebie jest pracochłonny, i wyjątkowy. Przede wszystkim wymaga obustronnej chęci i kompletnego zaufania.

Fot. z archiwum Macieja Millera



Czy proces rozstawania się z pracą nad konkretnym dokumentem także jest długi? Czy może pada tzw. ostatni klaps i bohaterowie oraz zespół żegnają się?

Z wieloma osobami jestem w stałym kontakcie. Zdjęcia do ostatniego filmu skończyliśmy ponad rok temu, ale piszemy ze sobą regularnie oraz spotykamy się. To wszystko trwa, nie da się łatwo odciąć od siebie po skończeniu filmu, bo to kawał wspólnej przygody, trudów, emocji. A utrzymanie takiej relacji jest trudne, bo każdy ma swoje życie, mieszkamy w różnych miejscach.

Literaturoznawcy często podkreślają, że nie każdy wiersz jest poezją, nie każdy tekst literaturą. Czy każda produkcja jest filmem/kinem?

Ja powiedziałbym, że jest kino i są produkcje. Ta granica jest płynna oczywiście.

Czy są zatem twórcy wybitni, których poczynania śledzisz i nurty, które szczególnie cenisz?

Bardzo lubię wszystkie dokumenty, które odkrywają coś, co jest bardzo blisko nas, a my nie potrafimy tego dostrzec i mam tu na myśli np. „Wszystko się może przytrafić” w reżyserii Marcela Łozińskiego. Film oparty na rozmowach z ludźmi w parku, których spotkać można każdego dnia. Wyjątkowy, pogłębiony przez reżysera dobór rozmów sprawił, że z pozoru codzienne sytuacje urastają do czegoś wielkiego. Nawet jeśli nie spodziewam się po filmie czegoś wielkiego, to i tak staram się oglądać jak najwięcej. Ta różnorodność mi się podoba, nie hierarchizuję.

Dziś nie jest problemem zaplecze techniczne. Coś, co było dobrem luksusowym – kamery, mikrofony, narzędzia do edycji – dziś mamy w kieszeni, w smartfonie. Kręcimy rolki, tiktoki, robimy zdjęcia. Czy zatem social media/aplikacje wpływają na młody polski film?

Ja nie należę do grona osób, które intensywnie udzielają się w social mediach, nie kręcę rolek, storisów. Nie jest to jednak jakaś nowość – ludzie zawsze mieli dostęp do długopisów, a jednak mało kto pisze poezje lub książki, które zostają z ludźmi na lata. Z drugiej strony ludzie często też szukają sposobów, trików...

Lubimy sobie ułatwiać...

Tak, tak! Samo oprogramowanie czy sprzęt stają się coraz bardziej dostępne. Z jednej strony niektóre trendy mogą z powodzeniem odnaleźć się w języku filmowym i rzeczywiście służyć opowiadaniu, ale z drugiej strony istnieje niebezpieczeństwo fascynacji samą formą, pozostania na wizualnej powierzchni.

To, o czym mówisz, widać mocno w tzw. kinie niezależnym. Przyzwyczajeni do wybuchów i tempa odbiorcy często są zaskoczeni tym, jak taka spokojna, stateczna historia zostaje z nimi na długo...

Zgadzam się z Tobą, absolutnie. Kolejny przykład to „Nawet nie wiesz, jak bardzo Cię kocham” Pawła Łozińskiego, który jest opiekunem artystycznym moich dwóch ostatnich filmów – film oparty na trzech portretach, trzech ustawieniach kamery przez cały czas. A jeśli chodzi o emocje? Aż się wylewają!

Badania pokazują, że odbiorcy mediów audiowizualnych spędzają średnio 3 sekundy przed ekranem. Jak zadać pytanie takiemu odbiorcy?

To jest trudne pytanie... Aby przyciągnąć widza, sprawić, że pozostanie na dłużej, należy stworzyć kombinację sztuki pisania scenariuszy i pomysłowości połączonej z wiedzą o narzędziach analitycznych na temat zachowań w social mediach. Myślę, że sam odbiorca też musi chcieć poszukiwać takich treści. Ciężko wymagać od kogoś, kto wejdzie na Instagram, żeby się zrelaksował, zainteresował czymś trudniejszym, często też przygnębiającym i czasochłonnym. Myślę, że na to jest osobny czas i miejsce.

Czy bycie twórcą kultury to bycie aktywistą sztuki? Czy możemy tego wymagać? Twórca-esteta czy twórca-działacz?

Mówię tu za siebie, bo ciężko mi wymagać od innych lub mówić im, co mają robić. W wielu przypadkach to właśnie forma, estetyka jest ich napędem... i takie też lubię oglądać. To nie jest tak, że ich nie akceptuję. Często w nich coś mnie poruszy, ubogaci, poszerzy perspektywę. Jako że tworzenie to żywy proces, to trudno czasem mieć sztywną misję – jak wspomniałem wcześniej, często nie wiem, dokąd mnie film zaprowadzi. Jeśli wyjdzie z tego coś interesującego, poruszy emocje, to świetnie...

A jeśli nie wychodzi? Jak pracować z tym procesem „niewychodzenia”, jak się z niego uczyć?

W moim przypadku to przeradza się w zmianę planu. To nie jest tak, że to koniec drogi i odpuszczam, tylko decyduję się na nową – dlatego droga do zakończenia filmu odbywa się u mnie zawsze zygakiem. Trudno mówić o porażce sprawiającej, że porzuca się projekt – to jest jednak żywa tkanka, wobec której trzeba być czujnym i ufać jej. Już na początku widać, czy bohater i jego sytuacja są potencjalnie materiałem na film. Jeżeli „ma się nosa” i rzeczywiście tak jest, to raczej nie będzie to ślepa uliczka, tylko w najgorszym wypadku bardzo kręta i wyboista droga. Natomiast jeżeli coś miałoby nie wyjść, to widać to już na etapie przygotowania projektu. Wtedy jeszcze jest odpowiednio wcześniej, aby bezboleśnie zrezygnować z pomysłu.

I po tych wszystkich trudach twórcy wciąż jeszcze mają siłę wystać film na festiwal, konkurs, słuchać opinii...

Na szczęście, jeśli chodzi o samo wysyłanie, to od tego są inni ludzie (śmiech), to jest bardzo żmudna sprawa i wymaga kompetencji. A jeśli chodzi o rozmowy w kinie i odbiór, no to jest to sama śmietanka tej trudnej pracy. Jeżeli film w kimś rezonuje, to jest to największą nagrodą. Pod wpływem mojego poprzedniego filmu „Między nami” (2017) mój znajomy zareczył się – poczuł, że powinien się jakoś określić co do swojego związku. I świetnie! O to chodzi!

Będiesz kamerzystą na ślubie?

Nie, nie! (Śmiech)

W Olsztynie można było obejrzeć Twoją pracę podczas WAMY, na świecie walczyła o Złotą Palmę w Cannes, prezentowałaś ją także m.in. podczas Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Busan w Korei Południowej. Twórcy potrzebują nagradzania?

To jest naprawdę super – zupełnie jak z rozmowy z ludźmi. To ucieleśnienie tego, że ktoś to docenił, że to poczuł. W nagrodach nigdy nie chodzi mi o statuetkę, tylko o uznanie ciężkiej i długiej pracy, całego procesu. Wyniki tej pracy, tego procesu mogłem pokazać podczas WAMY: „Jestem tutaj” – moje zdjęcia, reż. A. Minowska i „Czy potwory jedzą kiwi” – też moje zdjęcia, reż. P. Podolski, w Cannes film „Koniec widzenia” – moje zdjęcia, reż. G. Mołda oraz w Busan z „Między nami” w mojej reżyserii.

A jak jest z konkurencyjnością wśród twórców?

Kino dokumentalne, w którym funkcjonuję jako reżyser, idzie swoim własnym torem i rytmem. Siedzę w Olsztynie, na uboczu, poza głównym centrum filmowym, jakim jest Warszawa, i robię swoje. Nie mam poczucia, że muszę się z kimś ścigać, zderzać. Z drugiej jednak strony są takie historie festiwalowe, kiedy to dzień przed galą zawsze organizatorzy imprezy dzwonią potwierdzić, że ta osoba, która ma odebrać nagrodę, na pewno będzie. I oczywiście jest więcej przyjęć wokół festiwalu, ale tego jednego dnia jest bardziej sztywno i każdy patrzy na telefon (śmiech) i wszyscy czekają...

Twój zadzwonił kilka razy...

Kilka razy tak, kilka nie. Różnie bywa. W wolnym czasie amatorsko obracam się w środowisku rowerowym, gdzie większość traktuje to jako dodatek do pracy, prześtrzeń, żeby ochłoniąć i przez to jest tam zupełnie luźno, co pozwala dostrzec, jak

to jest, kiedy nie istnieje nawet najmniejsza konkurencja. Staram się przenieść to podejście i do filmowej części mojego życia.

30 festiwalu, jeszcze więcej krajów, współprace, spotkania, a przecież praca filmowca to – co może być dla wielu zaskakujące – głównie siedzenie przy komputerze, rozmowy...

Na pewno inaczej jest w przypadku filmów fabularnych. W dokumencie głównie jest to tzw. praca miękka – rozmawianie, planowanie, konsultowanie, research. Praca oparta na kontaktach z ludźmi np. przez ostatnie 2 lata przepleciona tylko 12 pełnymi dniami zdjęciowymi i powolnym zbieraniem drobniejszych części materiału.

Świadomość co do wielu aspektów kina dokumentalnego często jest niewystarczająca...

Często wynika to z tego, że dokument kojarzy się z czymś oświatowym, edukacyjnym, z czymś, co odpowiada na pytania, a nie je zadaje. To jest chyba pokłosie tego skojarzenia dokumentu z czymś nudnym. Często rozmawiam na te tematy i słyszę: „A ja to dokumentów nie oglądam, bo są takie i takie...”, a kiedy wymieniam kilka, pytając, czy ktoś je zna, nagle okazuje się, że to kino jest zupełnie inne, głębsze.

Gdzie możemy dotrzeć do polskiego kina dokumentalnego?

Na pewno na festiwalach. Wyjątkowa selekcja to głównie Kraków i Docs Against Gravity. W tym roku edycja będzie hybrydowa, tak że będzie można obejrzeć nawet w Olsztynie. Są też portale internetowe, np. mój film jest m.in. na platformie TVP VOD.

Kod QR do filmu dokumentalnego *Między nami* (2017) w reż. M. Millera



KAJA WILENGOWSKA

Poker prawie rozbierany

Siadamy we czwórkę, stolik kwadratowy, nasze uśmiechy takie okrągłe, ząbki jak perełki, zarost połyskuje, a na stole latte w wysokich szklankach i talerz surowych warzyw z jogurtowym dipem. Agnieszka wyciąga karty, tasuje, rozdaje.

— Mój Max to w ubiegłym roku był na obozie tenisowym, miesiąc u ojca w Hiszpanii, sam poleciał. Wiecie, to taka zaleta rozwodu, ja mam go przez cały rok, to niech się tata chociaż w wakacje zajmie dzieckiem. Teraz też leci na dwa miesiące. Sam chce, wiecie, lubi to: wstają o 14, wracają do domu o 2 w nocy. Były mąż ma dom nad samym morzem...

Dostają dwa walety, damę i coś jeszcze. Slabo. Żadnych asów. Rundkę wakacyjną kontynuuje Beata:

— Moja Zosia to na obozie konnym była w tamte wakacje, ale wiecie, jak pachniała jej walizka po powrocie. W tym roku to już powiedziałam, żadnych koni nie będzie, wykupiłam kolonie w stylu Harrego Pottera i obóz musicalowy. No jeszcze trzy tygodnie w Chorwacji byliśmy, po pandemii to już można było byle gdzie. Teraz do Paryża mąż nas zabiera, pozwiedzać, w końcu to już ośmiolatka, to niech się uczy. Muszę wam powiedzieć, że mam pewne obawy, bo słyszałam, że tam jest pełno bezdomnych w centrum...

Dziewczyny potakują ze zrozumieniem, wpatrując się w swoje karty. Wymieniam dwie. Nadal nie mam asa, druga dama troszkę poprawia sytuację.

— A wiecie, że tu kiedyś wszędzie było morze... — wypalam dumny, że się książek mądrych nazytałem. — A potem na terenie Europy żyły drapieżne jeże wielkości psa i jeleniowate z pięcioma rogami... — Rozmarzam się, chociaż trochę ze współczuciem, bo tyle miały na głowie. A my tu rodzice na urodinkach dziewczynki z klasy naszych dzieci zabijamy czas pokerem w hłaśliwej mokotowskiej sali zabaw, wdychając uporczywy zapach surowego kalafiora i obnażamy się przed sobą na zapas, już na wakacje, bo nie będzie okazji chwalić się w szkolnej szatni. Jest druga połowa maja, wojna trwa już trzy miesiące.

Roześmiali się, higieniczna zawsze Beata nawet się trochę opluła, Marek się zasępił nad tymi jeleniami chyba... Równiutki słupek marcheweczki popijam zimną już kawą. Co tam, „wakajków” nic nie przebiję, wracam na ustalone tory konwersacji:

— My jedziemy do Holandii, popatrzeć na wiatraki, poza tym mam stamtąd dobre wspomnienia, a moje dziewczyny lubią tulipany. — Te moje słowa lepiej brzmią, rozmówcy — prawniczka, informatyk i przedstawicielka medyczna — akceptują.

— O, fajnie — wydusza Agnieszka, ściskając mocne chyba karty. Oddycham z ulgą, jestem w teamie. Zawieszam wzrok na wypisanym kredą menu: makarony, pizza,

gofry, lody, ciasta... Co jakiś czas się uśmiecham, mhm, no tak, haha, wysłuchując dalszych opowieści o podróżach, o tym jak Marka córka zgubiła aparat ortodontyczny w samolocie i stewardesa przeszukiwała wszystkie kosze na śmieci, o tym jak synek Beaty zgubił but i dyrektorka przedszkola grzebała w kontenerze ze śmieciami, bo przecież „to nowe trampki były i to ich wina” i co Max myśli o serialu „Wikingowie”. W salce na dole nasze pociechy prawdopodobnie walczą laserowym paintballem albo jedzą gofry z nutellą. Zazdroszczę tych gofrów. Siedzimy dalej, kalafior ciągle wali, wreszcie temat schodzi na wojnę.

— W mojej firmie ze współpracą chcieliśmy zatrudnić dziewczynę z Ukrainy jako asystentkę. Przyjechała na trzy dni na próbę, mieszkała u naszej księgowej. Wszystko jej dawaliśmy, obiady, taksówki, za te trzy dni pracy dostała absurdalnie dużo, chyba 4000 zł i prezenty. Wróciła do Lwowa. Po kilku dniach dzwoni, że te oferowane 7000 zł netto za pracę, wiecie, lajtową, 9:00-17:00, to w obliczu inflacji jednak za mało i nie przyjedzie. A tam jest telemarketerką w Vinted. A człowiek chce pomóc...

— No, to dziwne. A moja pani Ludmiła to od początku wojny zaczęła gorzej sprzątać, no, ale przecież nie opieprzę. Ale ostatnio to już przesadziła, wszędzie kurz. Dzwonię do niej z awanturą, a ta, że ona może w ogóle nie sprzątać i rzuca słuchawkę.

— A wiecie, że one już wracają na Ukrainę. Coraz więcej wraca. W marcu przyjechały, ale już nie chcą tu siedzieć... A tam to ci Ruscy wszystko robią, żeby ich upokorzyć — gwałcą, strzelają.

Pip pip... Na naszą klasową grupę whatsappową przychodzą zdjęcia. Chwytny za telefony. Chłopcy z 2a w czarnych uprzężach z karabinami laserowymi, dumni i zmęczeni siedzą na schodach. Wyglądają dorośle. Niezły timing, tato jubilatki. Patrzymy po sobie milcząco. Rozbawieni chłopcy złowieszczo przypominają powstańców z czterdziestego czwartego. Oby nie, oby nie, zaklinam w duchu. Odbija mi się marchewką.

— O, Maksio pewnie wygrał. On zawsze wygrywa w strzelanki, jest w tym niezły. — Dumna Agnieszka odkłada telefon. — Ale wiecie, czytałam biografię Putina — handel ludźmi, narkotyki, KGB, fałszowanie wyborów — straszne. Myślicie, że się odważy rzucić bombę atomową? Mam nadzieję, że tego nie robią, nie zadrą z NATO, no, gdzie tam...

— No, gdzie tam, Aga, przecież oligarchom zabrali jachty, nigdzie nie polecą, dzieciaki ze Szwajcarii pozabierali nawet, bo musieli. Zresztą, jak rzuca bombę, to będzie już koniec Rosji... — Beata wie, bo jej koleżanka córka też studiuje w Szwajcarii.

— A jednak społeczeństwo popiera dalszą agresję — nieśmiało wtrąca Marek. — Mają mózgi wyprane, nie wycofają się moim zdaniem.

— No, jakby co, to ja dziecko wysyłam do ojca, a ja zostaję. Mój chłopak pracuje w Parlamencie Europejskim. — Aga nerwowo chwyta shopperkę Louis Vuitton, czegoś szuka.

— Ja też zostaję, bo jak to dom zostawić, niedawno się przeprowadziliśmy, zostaję. — Marek nabiera wigoru.

Beata milczy, a ja już chcę dać wykład o zagrożeniu, o tym, co przewidują analitycy, o naszej historii, o kwaśnym oddechu Buriata, o tym, że rosyjscy żołnierze nasrali w każdym domu, w którym byli, o tym, że przewaliliśmy te ostatnie 30 lat na nie-mówieniu o wyzwoleniu przez Armię Czerwoną w 1945, że nie wystarczą dwa filmy i kilka książek z ostatnich lat, że gdyby to było w kulturze masowej to inaczej, nie

tylko polskiej, ale i europejskiej, i amerykańskiej, że trzeba było odważnie mówić o tym w szkołach, żeby Warmia, Mazury, Śląsk i Kaszuby nie były tylko kolebkami bolesnych traum, które resztę dziwią i że jak Twardoch pisze, że ciotka jest „po Rusie”, to nie jest opowieść o dziwadle, tylko o zbrodni wojennej i wszyscy wiedzą, o co chodzi, i że ja wypierdalam, boatersko wypierdalam przed Ruskimi, czy tam antyboatersko, ja wypierdalam, bo mam to w genach, bo jestem z rodziny, która w czterdziestym piątym nie zdążyła, to ja wypierdalam, zabieram rodzinę i... — i już zaczynam to przemówienie, odezwę do uczuć komfortowo odważnych pokerowych partnerów i już otwieram usta, gdy nagle ktoś stuka mnie lekko w ramię:

— Tato, nudzę się, wszyscy poszli na lasery, a ja nie chcę. — Moja Ania umorusana czekoladą wyrwa mnie z tego uniesienia. No cóż, nie powiem tego wszystkiego, pójdę z córką umyć jej buzię. I wojny nie będzie. W pokera zagramy po wakacjach.



Fot. Władysław Olsztyński

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Pod Lipą

Na początku nowych czasów, gdzieś pomiędzy pierwszym okrągłym stołem i drugim okrągłym stołem, w epoce niepojętych przemian i niejasnych rozstrzygnięć, straciliśmy złudzenia i stopniowo przestaliśmy wierzyć w to wszystko, co jeszcze niedawno różniło nas od milczącej większości. Większość stała na przystanku i rybimi oczami patrzyła na nas przez szybę, a my siedzieliśmy w kawiarni i manifestacyjnie odrzucaliśmy możliwość przemieszczania się autobusami, pracy czy nauki. Większość chodziła na pochody, kiedy my siedzieliśmy na ławce w parku, większość cynicznie uczestniczyła i akceptowała, kiedy my szlachetnie odmawialiśmy udziału, większość była naszą kulą u nogi i wrogo usposobionym otoczeniem, które jakby na złość uparcie konsumowało kłamstwa płynące z dzienników telewizyjnych. My byliśmy inni, nie wierzyliśmy w to, w co wierzyli oni, albo raczej wierzyliśmy we wszystko, w co oni uwierzyć się bali. I oto nagle, kiedy wymarzony świat z należącymi doń dobrami – a zauważyć chciałbym, że nie chodzi w tym miejscu o jakieś tanie alkohole z pewexu, jeansy czy jakieś gadżety, ale o wartościowe i technologicznie zaawansowane produkty przodujących gospodarek świata – kiedy ten zakazany wcześniej świat ze swoją wolnością i liberalnym systemem wartości miał przed nami otworzyć swe podwoje, kiedy do rozwiązania pozostała ostatnie kwestie – czas i źródło finansowania rodzącej się w bólach demokracji – niepostrzeżenie zaczęliśmy przechodzić na stronę większości. A większość była coraz bardziej milcząca.

W tych czasach przesiadywaliśmy w kawiarni Pod Lipą. Stali bywalcy: Delbana i Tylec, przyjaciele od przedszkola właśnie wyszli z wojska i jakoś nie potrafili wrócić do codzienności. Ciągłe opowiadali o przygodach łącznościowców. Bola był mistrzem rzutów karnych, ale żadna drużyna nie była gotowa go przyjąć, bo kiedy nie strzelał bramek, zbyt często faulował. Pod Lipą bywała też Kawa, która formalnie jeszcze się uczyła. Co prawda nikt nie wiedział, w której szkole, a ona też nie była w tej kwestii zbyt wylewna. Nie spieszyła się zresztą do sprawdzania, czy wciąż figuruje w spisie jako uczennica. Poza tym Pod Lipą pojawiało się więcej naszych i innych, którzy może nie bywali tak często, ale nawet jako nieobecni bywali przydatni. Pod Lipą spędzało się wspólnie czas. I był to czas naprawdę wspólny.

W zasadzie było to bardziej bistro niż kawiarnia, ale w naszym przypadku taką akurat pełniło rolę. Nie zawsze można mieć, co się chce. Do najbliższej kawiarni było po pierwsze dość daleko, po drugie w kawiarniach było drożej, a po trzecie – tu byliśmy u siebie. Nawet personel przyjął takie założenie i z powodu niewielkiej liczby klientów pozwalał nam przesiadywać godzinami przy jednej herbacie i nie ponawiać zamówienia. Tak się czasem składa, że młodzi ludzie gdzieś muszą się zadowolić, choćby na

tyłe, aby bez bólu przeczekać do otwarcia klubów, doczekać momentu, kiedy miasto okryje przestrona zmierzchu i będą mogli spokojnie wyjść na zewnątrz otuleni oporną wieczornego mroku. Albo po prostu spędzić trochę czasu w swoim towarzystwie. Czas płynął leniwie. Sekundy kapaty kropla po kropli, żłobiąc wgłębienie nazywane terażniejszością. Radio grało modne piosenki. Wszystko to było wkalkulowane w plan dnia. Ale bywało i tak, że popołudnia nie układały się tak, jak tego moglibyśmy chcieć. Zewnętrzny świat pędził do pracy, śpieszył do domu, na obiad albo po zakupy, po dzieci do szkoły albo na wywiadówki, a my nie braliśmy w tym wszystkim udziału. Byliśmy jakby poza czasem, jakby szyba kawiarni była tamą, chroniącą nas przed rwącym nurtem. Co nie znaczy, żebyśmy się nudzili. Człowiek jest tak skonstruowany, że w dobrym towarzystwie trudno mu się nudzić. Obserwowaliśmy świat za oknami, słuchaliśmy muzyki, opowiadaliśmy sobie w kółko te same historie, filmy, jakieś plotki, czasami poznawaliśmy Pod Lipą kogoś nowego. Ale większość z nich i tak znaliśmy, bo byli to stali bywalcy. Niektórzy tak jak my – zawieszeni w czasie pomiędzy pracą i spoczynkiem, pomiędzy obowiązkami i nadziejami – poszukiwali miejsca, w którym mogliby przeczekać beznadziejną codzienność. Czasami tama pęka.

Zaczął się od Jolki. Zawsze wiedzieliśmy, że to pechowe imię. Wróciła właśnie stamtąd, zza oceanu, spoza wszystkich kordonów. I od razu przyszła do nas, posiedzieć Pod Lipą, może trochę poopowiadać. A my, niczym głodne szczenięta, gotowe przyjąć każdą wiadomość jak smakotyki, czekając na najprostszą choćby informację, jakby to było objawienie, zasiedliśmy w oczekiwaniu. I Jolka, śliczna dziewczyna z szopą rozjaśnionych blond włosów, z zapachem wielkiego świata i z uśmiechem wyrażającym chyba poczucie wyższości, ale może jakąś skrywaną satysfakcję oświadczyła, że za wielką wodą nie ma nic, co byłoby warte naszych marzeń. To, jak tam jest, niewiele się różni od tego, co mamy za oknem. Przestrzeń, owszem, jest wystarczająco przestronna, by pomieścić wszystkie cuda przyrody. Widziała nawet wodospad Niagara i Wielki Kanion. I to robi wrażenie. Są drapacze chmur i nieskończoność nikajich domków przy ulicach pozbawionych chodników. Ale co to za atrakcja? Po kilku dniach się przyzwyczajasz i na każdym kroku dostrzegasz tandetę i sztuczność, plastik i brud, zacieki na lamperkach i fałszywe uśmiechy sprzedawców.

— To chyba dobrze, że się uśmiechają – nie wytrzymał Tylec. — U nas wystarczy, że spojrzysz na minę i już wiesz, że nie ma nawet sensu pytać.

— Tam spojrzysz na uśmiech i już wiesz, że chcą cię oszukać, nawet jeśli wierzą w swój towar. Kupujesz, bo musisz kupować. Inaczej automatycznie stajesz się obcy i przyglądają ci się, jakbyś był kosmitą.

— Tam jest kapitalizm, a tu zbankrutowany socjalizm.

— A żebyś wiedział! Tam liczy się tylko kapitał, więc wszyscy coś sprzedają... I zazwyczaj nie najlepszy towar.

— Tu za to jest kontrola jakości – sardonicznie zaśmiał się Bola, ale Jolka podjęła wyzwanie:

— Tam też! Mają nawet system zwrotów, możesz oddać to, co kupiłeś i jeszcze cię przeproszą, że nie spełnili twoich oczekiwań. Na przykład kupujesz lodówkę, używasz, zwracasz, oddają pieniądze, ale bez lodówki żyć się nie da, więc musisz kupić następną. I wydajesz te same pieniądze, ale płacisz za transport, no i tracisz czas. Mówią, że czas to pieniądź, ale działa to tylko w jedną stronę, bo sprzedanego czasu odkupić już się nie da. — Zapadła cisza.

— Pracowałaś? – próbowałem ratować sytuację.

— Owszem – spojrzała na mnie swoimi błękitnymi oczami. Była wyraźnie rozbawiona. — A dlaczego pytasz?

— W nadziei, że masz może też jakieś dobre doświadczenia.

— Jeszcze jak! Na początku byłam kelnerką w barze, dolewałam klientom kawy, sprzątałam ze stołów. Ale szef przystawiał się do mnie, a że nie był w moim guście, więc w końcu narobiłam wrzasku. Tłumaczył coś o niewinnych żartach, na co powiedziałam, że nie będę tego znosić i odchodzę. Trochę się chyba przestraszył, bo zapłacił mi za cały tydzień. Później przez dwa tygodnie pracowałam przy frytkach w takiej budzie z przekąskami, ale trudno tam było wytrzymać z gorąca i smrodu. Zapach wygotowanego oleju i frytek jeszcze długo będzie mnie prześladował. A później na dłużej zaczęłam się u jednego artysty. Mieszkał w pracowni i malował męskie postaci, pod ścianami stały wielkie płótna z nagimi mężczyznami, poobijanymi do krwi, poobcieranymi, z rozbitymi nosami i łukami brwiowymi. Wysprzątałam mu tę pracownię, nie było nawet jakoś szczególnie brudno, umyłam okna i podłogi, uporządkowałam czasopisma, poukładałam ubrania, zresztą nie było tego wiele.

Obiad przywozili w jednorazowych opakowaniach – on sam zamawiał, wystarczyło tylko podgrzać w mikrofalówce. Płacił mi dobrze, więc próbowałam mu gotować, ale on jakoś nie miał apetytu, odpowiadał, że już jadł... To mogła być prawda, fast foody są tam na każdym kroku. Pytałam, co mam robić, a on odpowiadał, że najlepiej nic. Siedzę i patrzę na niego, on patrzy na mnie, mija pół godziny, on zmienia pozycję i jego wzrok pada trochę obok, jakbym była powietrzem – zupełnie niewidzialna! Siedzę tak, a on patrzy jakby nie widział. Pusta ściana. To szklane spojrzenie trochę mnie przerażało.

— Coś z nim było nie tak?

— Chyba nie. W sumie bardziej robił wrażenie urzędnika niż artysty. U nas artystę poznasz po ubraniu, po zachowaniu. A on był jak pracownik biurowy, tylko strasznie smutny.

— Nie dobierał się do ciebie? Może wołał mężczyzn? – odezwała się Kawa.

— Raczej nie. Spotykał się z kobietami. Robił to dyskretnie, ale ja po nich sprzątałam, więc to akurat wiem. Tylko co mnie to obchodzi. Najgorsze było to, że robiłam porządki w ciągu godziny, dwóch, a później musiałam siedzieć w pracowni do lunchu. Próbowałam jakoś nawiązać z nim kontakt – bez rezultatu. Pogodziłam się z tym, że nie rozumiem, z tym, że on nie zamierza się komunikować, czyli mówiąc krótko, traktuje mnie jak automat do pościelenia łóżka, odkurzania, prania, wynoszenia śmieci. Nic więcej ode mnie nie chciał i to był problem. Patrzył na mnie jak na powietrze. Próbowałam sprzątać mniej dokładnie. Kiedy widział, specjalnie odkurzałam byle jak połowę podłogi, a drugą pozostawiałam nietkniętą. Nie reagował. Mogłabym pewnie nic nie robić.

— Brzmi całkiem zachęcająco – próbował sprowokować Delbana, ale Jolka spojrzała, jakby chciała powiedzieć, że nie widzi w tym nic zabawnego i Delbana zmarkotniał.

— Później przestało mnie to bawić. Jak długo można patrzeć przez okno na zarośnięte zielskim podwórko? Odeszłam. Nie próbował mnie zatrzymać. Zapłacił tyle, na ile się umówiliśmy i powiedział „thank you”. Bez uśmiechu, bez pytań, bez wyjaśnień.

— Nie było ci mimo wszystko żal takiej wygodnej pracy?

— Praca jest dla każdego, nie musisz nawet bardzo się starać, ale nie myśl, że od razu posadzą cię za biurkiem. Taka praca jest dla tych lepiej urodzonych, lepiej poinformowanych, mówiących bez obcego akcentu, a pierwsze, o co pytają, to doświadczenie zawodowe i referencje, wykształcenie nie ma takiego znaczenia. A jakie ja mogłam mieć doświadczenie zawodowe? Próbowałam jeszcze w wielu innych miejscach, ale najczęściej były to pomyłki. I w końcu zrozumiałam, że wszystko to, czym tutaj gardziłam – etat, stała praca, mieszkanie w bloku – za oceanem byłoby sukcesem. Tam większość ludzi żyje w wynajętych pokojach, w których są ślady kilkunastu poprzednich lokatorów. Czujesz się jak w pociągu, tyle, że przedział masz na wyłączność... I w pociągach jest chyba czystiej. Powiedzieć, że czuliśmy się nieswojo, to jakby nic nie powiedzieć. Jolka jeszcze trochę posiedziała i sobie poszła. Grunt pod naszymi nogami osuwał się niczym podmyty sztormową falą klif. Siedzieliśmy przy stoliku, na dnie filiżanek utrwał się osad z wystudzonej herbaty. Ktoś zaproponował, żeby w końcu wrócić do naszego lipnego projektu, o którym myśleliśmy od początku,

i przerobić na blaszanym szyldzie napis „Pod Lipą”. Należało tylko lekko zaokrąglić literę L, nadając jej kształt półkola. Ale nikt nie podjął tematu.

— Głupia — powiedział Tylec, przerywając nabrzmiewającą między nami ciszę. Ale zabrzmiało to niezbyt przekonująco. Spotkanie z Jolką rozstroilo wszystkich. W końcu rozeszliśmy się do domów, gdzie też trudno było znaleźć sobie miejsce.

Na początku każdy wąpi samotnie, próbuje jeszcze zachować część przekonań, które nagle okazują się nieaktualne. Nie zdradzając swych uczuć, zakłopotania, irytacji, przyzwyczajony do swych racji próbuje dostosować je do zmieniającego się obrazu rzeczywistości. Jakby ktoś nam wmówił, że należy się wstydić zwątpienia i frustracji. Na początku to jest jak katar, utrudnia życie, ale próbujemy z tym jakoś funkcjonować. Później staje się nie do zniesienia i musimy coś z tym zrobić. W końcu godzimy się z tym, że jakaś część naszych wyobrażeń o świecie jest wynikiem błędnej interpretacji słów innych ludzi. Nieważne, czy kłamali świadomie i jak bardzo chcieli wprowadzić nas w błąd. Kłamstwo jest naszym żywiołem. Wierzmy w mity i bajki, a kiedy nam ich brakuje, kłamiemy sami sobie, bo tak łatwiej jest żyć.

W końcu zebrał się okrągły stół, ustawiono ten sam mebel co za pierwszym razem i dogadano się w sprawie naszej przyszłości. Jakoś rok, może dwa lata później ktoś przemodelował szyld kawiarni. Nikt z nas nie wiedział, kto mógł to zrobić. Pewnie nikt z naszych. Nie zrobił tego Bola, który zamiast piłki kopał już buldożerem śmieci na wysypisku. Mówił, że dobrze płacą, ale trudno zmyć z siebie woń śmietnika. Tylec w tym czasie był gdzieś na występach gościnnych, czyli najprawdopodobniej udawał fachowca w większym mieście albo jeszcze większym kraju. Delbana kończył zaocznie pedagogikę i wkrótce później załapał się do pracy w zakładzie poprawczym. Mogłaby to zrobić Kawa, ale gdyby to była ona, to na pewno by ją złapano na gorącym uczynku. Podobno wpadła z jakimś miłym chłopcem i okazało się to dla niej najlepszym wyjściem. Znalazła z nim chyba szczęście. Jolka wyjechała do Berlina. Później wyszła za artystę, z którym przeżyła kilka lat. Malował jej akty. Podobno nawet nieźle się sprzedawały. Ale nic nie trwa wiecznie. Malarz znalazł sobie nową modelkę, rozeszli się, a Jolka wróciła do kraju. Założyła kawiarnię artystyczną. Podobno dobrze jej się wiedzie. Zmieniony szyld przetrwał tydzień. Nikt z nas nie wiedział, kto mógł to zrobić. Jak widać ktoś inny miał ten sam pomysł. Nie mamy przecież monopolu na lipne projekty.

Fot. Władysław Olsztyn

ADRIANNA WIECZOREK

SŁOWA

Kruche jak porcelana
głęboka rana

Gdy ktoś nieumiejętnie
Ich używać będzie,
Są jak sztylet
Lub gorsze
łamią serce

Piękne w doskonałości
Wznoszące kruche pałace
Budują
Ale na chwilę
Ku ludzkiej niepoznace

Mogą być jak narkotyk
Mieszać i zaślepić,
lub oczy i usta
na zawsze zalepić

dedykacja:
*do osoby, która jest przy mnie,
bez względu na wszystko*

AKTOR

Pokój pełen masek
Wiszą na ścianach
W upiornym uśmiechu
Nikt nie jest bez grzechu

Ktoś upadł?
Tamten człowiek
Jest bliżej
To nie moja sprawa
Są inni
Co z tego że niewinni?
Nic nie zawinili
Że są
W tym miejscu
I w tej chwili

A aktor tylko czeka
By odegrać rolę
Że mu nie zależy
Zaraz jego kolej . . .

Koło niego inny
Który ma upadać
Cisza!
Aktorzy wchodzą
A wy na końcu?
Nie gadać

JULIA JANUSZEWSKA

THANATOS

Boski postaricu
Kochanku nocy o czarnych skrzydłach
Zatraciwszy duszę oddaję się w twoje
Złote włosy i złoty nóż
Apollo, składam przeprosiny
Mrok jest lepszym wybrańcem
I tańczymy w pokoju upadku
Ciche kroki i jasne kończyny
Piach na sinych ustach, koldra z glizd
Pani łoża małżeńskiego, wdowa po miłości
Zamknięte oczy, ostatni kamyk na powiece wpada w czerń bezkresną
Stulecia imaginacji
Delirium kochania
Bliźniacza przysięga oddania
I ziemia się rozstępuje, ostatni ogień pochodni
Płaszcz znika, marne przekupstwo losu
Ulotna pleśń skazy człowieczej

ADRIANNA WIECZOREK i JULIA JANUSZEWSKA — uczennice Liceum Ogólnokształcącego nr 1 w Olsztynie.

KATARZYNA GÓRA

Wiersze

BOSKA INTERWENCJA

Refleksja Ciebie
w lustrze Twojego Stworzenia
jak ją ujrzeć?
Wychodzi na to, że wszędzie:
w fizyczności i w duchowości
w partykularności i złożoności
w kropli wody i Układzie Słonecznym
w unoszącym się samolocie i strukturze pszenicy.

A przecież musi być ogniwo,
boska interwencja
komunikowana od wieków tylko dlatego, że koncept jest stary,
czasem prymitywny,
ale odwieczny i wyrafinowany.
Jak grecka mitologia wykuta w potrzebach
uchwycenia metafizyki poznania.
Jak fenomen religii co w spójny wzór się układa.

W odkodowywaniu logosu przeszkadzają nam
antropomorfizacja,
rytualizm
i fanatyzm.

OKO MORSKIE

Górskie stawy, potoki, woda czysta i bystra,
wierchy, wodogrzmoty i sosny muskające niebo,
górskie koszule z metalowymi, koronkowymi krawatami
i stukot kopyt.

W wozie siedzi grubas, umordowany tata z synkiem na rękach
i młode, o bujnych biustach, dziewczyny w klapkach.
Obok kroczy zaciekawiony trzylatek,
starsza kobieta,
grupa mężczyzn
i my.

Są pary trzymające się za ręce
i wasze dłonie, które dorastając, nie chcą już iść z mamą za rękę.

Dzisiaj było inaczej.

Są tacy, którzy boją się zatrzymać. Póki idą, to idą – coś się toczy.

A ty, co byś wybrała, mamó? Drogę łatwiejszą i dłuższą
czy trudny skrót?

Jestem malarzem, który czasami jest grafikiem, ilustratorem, filmowcem, projek-
tem, rzeźbiarzem. Pracując w wielu dziedzinach sztuki, np. robiąc film animowany,
mam poczucie, że maluję obraz. Chętnie biorę udział w przedsięwzięciach, które nie
są malarstwem, ale też z przyjemnością do niego wracam. Moje prace są odzwier-
ciedleniem trzech słów – dotykam, myślę, tańczę.

W latach 70. uczestniczyłem w ruchu konceptualnym, wówczas działałem również
jako kontestujący filmowiec. To wtedy powstało kilka filmów. Z wielu pozostały tylko
fragmenty taśmy – powiększone pokazuję jako obrazy. Wtedy też powstał rysunek
„Zegarek”, będący załącznikiem filmu, trudnego wówczas do realizacji. Teraz, po ponad
czterdziestu latach – dzięki pomocy syna Bartka oraz nowych technologii – zreali-
zowaliśmy go.

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

TADEUSZ BURNIEWICZ

Dotykam, myślę, tańczę

W latach 80. i 90. powstało wiele portretów, „obrazów psychologicznych” osób, które
były w jakiś sposób ze sobą powiązane i były mi bliskie. Zachowało się kilkanaście
tych prac. Również wówczas powstała seria „Tańczące trawy”, „Tańczące drzewa”,
a także tańczący ludzie-znaki, które były częścią projektu „Tierkreis” przygotowane-
go na IX Documenta w Kassel.

Moja pracownia położona jest blisko parku, a właściwie starego cmentarza. Tam,
jakieś pięćdziesiąt lat temu, chodziłem z ołówkiem i uczyłem się rysować, żeby zdać
egzamin do liceum plastycznego w Poznaniu. Od niedawna patrzę na rosnące tam
drzewa inaczej, podchodzę do nich coraz bliżej. Ich pnie to żywe, czyste malarstwo.
Tym pniom poświęciłem kilka najnowszych prac.

Tekst do wystawy: Dotykam, myślę, tańczę, Galeria BWA Olsztyn, maj-czerwiec 2022

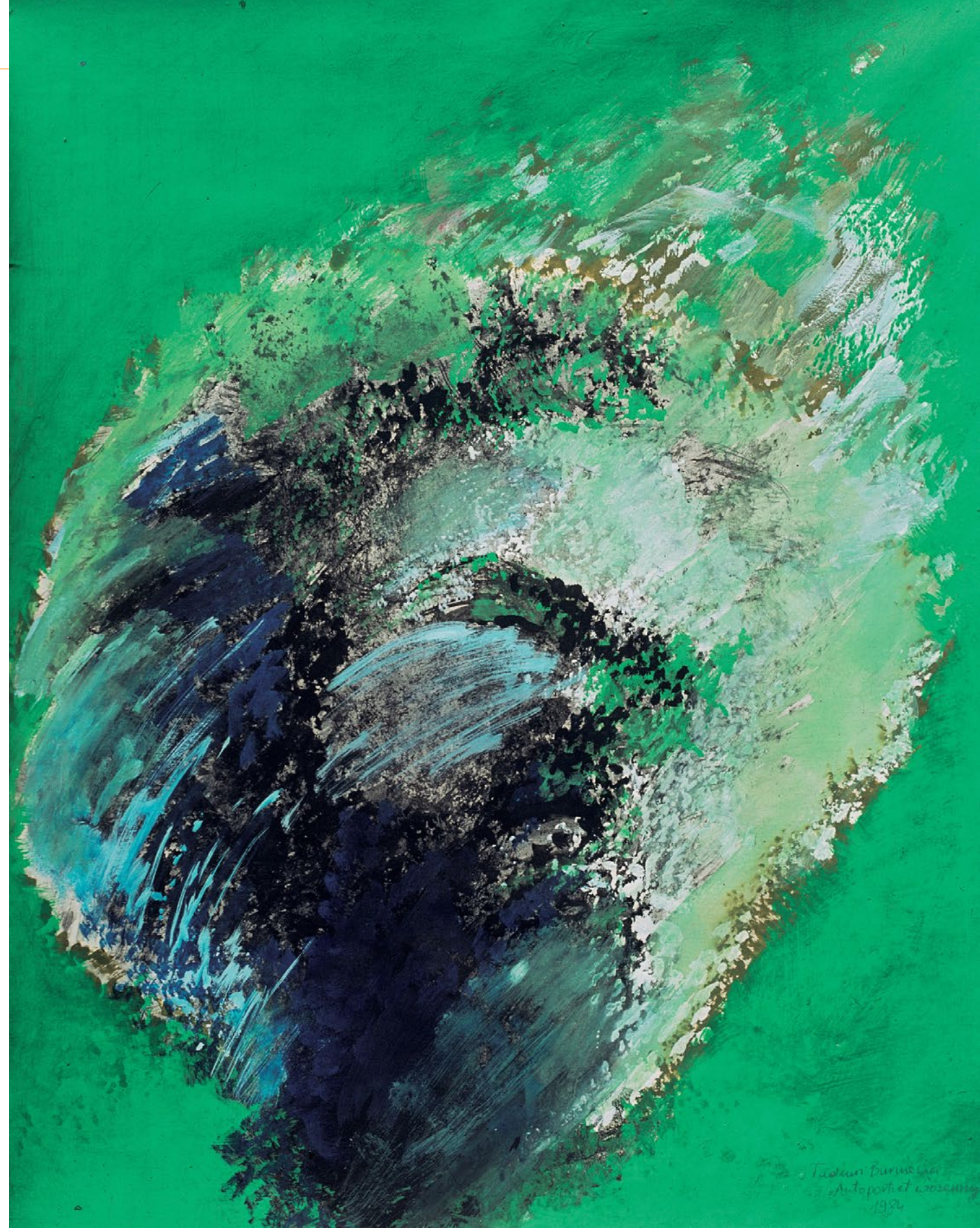
KATARZYNA GÓRA (ur. w 1981 r.) – językoznawczyni, obywatelka świata: mieszkała na wschodnim wybrzeżu USA, zdawała kanadyjską maturę, była na wolontariacie w Indiach
i odbyła kilka staży na Uniwersytecie Genewskim. Debiutowała na łamach czasopisma literacko-kulturalnego „Borussia”. Autorka publikacji naukowych. Związana również
z olsztyńską sceną tańca współczesnego. Autorka tomu poetyckiego *Montażownia* (2021).

TADEUSZ BURNIEWICZ (ur. w 1949 r. w Olsztynie) – dyplom z malarstwa otrzymał
w 1973 roku w Pracowni Malarstwa na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu.
Po studiach i trzech latach pracy na UMK wrócił do rodzinnego miasta. Przez kilka
lat rysował i opracowywał graficznie wkładki „Młodzi piszą” do miesięcznika spo-
łeczno-kulturalnego „Warmia i Mazury”. Powstało wtedy kilkaset prac. Ilustracja do
opowiadania „Wesele” Edwarda Stachury spowodowała, że przez kilka następnych
lat projektował okładki i ilustracje do jego książek.

W 1986 roku na wynajętej barce w Amsterdamie urządził pracownię malarską.
Przez kilka lat brał udział w życiu artystycznym tego miasta i żył między Olsztynem
a Amsterdamem. W 1992 roku wrócił do Olsztyna, a w 1994 założył z synem
Bartkiem studio grafiki komputerowej. Dzisiaj ma za sobą wiele wydawnictw i pro-
jektów zrealizowanych w różnych dziedzinach. W 1988 roku otrzymał główną nagro-
dę w Olsztyńskim Biennale Sztuki „O Medal Prezydenta” za zestaw prac malarskich,
w 2012 roku został laureatem Nagrody Prezydenta Olsztyna im. H. Skurpskiego.

TADEUSZ BURNIEWICZ

Autoporterty

*Autoportret okienny, tempera na papierze, 1976**Autoportret wiosenny, akryl na papierze, 1984*

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Olsztyńskie „ikony” – CENTAURUS

Ze snu przenosimy się na jawę. Olsztyńską architekturę czasami można opisać, wyśpiewać, wynaturzyć i przepoczwarzyć. Zróbmy to!

Alicja znów przekroczyła hipnotycznie falującą taflę lustra i wkroczyła w nowy, nieznany świat. Ale jakże był odmienny od króliczej nory i dworu Królowej, które kiedyś widziała. Ujrzała białą kopułę niskiego budynku przypominającego bombę lodów śmietankowych. Wstęgę ulicy z szeregiem dziwnie wyglądających samochodów. Równe i płaskie kwadraty miejskich trawników. Schludny szereg niższych i wyższych budynków stłoczonych po obu stronach ulicy. Miasto nieznanne, choć niezaskakujące. Stefa klimatyczna północna, sądząc po grubej warstwie stalowoszarych chmur na niebie. Alicja poczuła znajomy chłód na ramionach. I wszystko byłoby dziwne, ale dobre, gdyby nie on. . . . Nieregularny kloc smutku, urągający symetrii blok ze szkła, raniący pamięć o dawnej chwale architektury monument-zagadka. Potwornie wielki, szaro-czarny potwór przytłaczający skupione wokół, jakby w poczuciu przerażenia, drobne budynki. Od południa strzelający w niebo jak baszta, od północy – spłaszczony jak okręt, od zachodu – sterczący granią niby dziwny lotniskowiec, od wschodu – statecznie równy ścianą-nicością pomysłu. Alicja pomyślała, że może to projekt czterech odrębnych architektów, z których żaden nie skonsultował się z drugim, albo jeśli nawet skonsultował – nie zgodził się, każdy więc ostatecznie zrealizował swoją wizję oddzielnie. . . . Podeszła bliżej. Dziwny kąt jednej ze ścian zachodnich skojarzył jej się z żelazkiem albo – nie wiadomo dlaczego – z miejscem, z którego coś by mogło zwisać i kotłować się na wietrze. . . . Jakby. . . . Ale zanim weszła głębiej w tę wizję, szklane drzwi w ścianie budynku rozsunęły się i wyskoczył z nich zabawny człowieczek w stroju Piątki Pik.

– Panienko, proszę nie podchodzić, zaraz w tym miejscu odbędzie się publiczna egzekucja.

– Uwielbiam egzekucje – odrzekła Alicja, która była naprawdę grzecznym dzieckiem – tak więc z pewnością nie będę w niej przeszkadzać. Proszę pozwolić mi zostać. . .

Piątka Pik z powątpiewaniem uniosła brwi, ale już nic nie odpowiedziała i zniknęła za drzwiami. Wkrótce potem na szczycie platformy nad głową Alicji podekscytowana gromada różnorakich kart spuściła na grubym sznurze skrępowane pudełko od talii i po dość krótkim zamieszaniu w perfekcyjny sposób je powiesiła. Pudełko efektownie zadynało na wietrze. Alicja z wielką ulgą stwierdziła, że było ono definitywnie martwe, czyli ogólnie nieożywione, a potem pomyślała – ku swemu zdziwieniu – że była to najnudniejsza egzekucja, jaką widziała w życiu. Jej ostatnią konstatacją była myśl, że przynajmniej ten szkaradny budynek na coś się przydał. . . i wtedy się zbudziła.

Zobaczyła potyskujący w bładym słońcu bukiet narcyzów na stoliku kawowym. Wszystko w pokoju miało pastelowy, ciepłokremowy kolor dzięki światłu wpadającemu przez muślinową firanę i wszystko mówiło o wiosnie. Alicja przeciągnęła się i wtedy usłyszała dziwne słowa, kończące jakąś dłuższą wypowiedź szemrzącą z głośnika stojącego na komodzie radia: „W Polsce (Europa Północno-Wschodnia) przyznano właśnie laur prestiżowej Nagrody Najbardziej Klującego w Oczy Budynek Europejskiego. Gratulujemy miastu Olsztyn, składamy wyrazy szacunku menadżerowi budynku Piątce Pik oraz reszcie katowskiej egzekutywy”.

Alicja zerwała się powtórnie ze snu – tym razem z lekkim okrzykiem przerażenia. Pastelowe światło wpadło jakby mocniej przez firanę, która uniosła się w nagłym topocie. Niebem przegalopowała chmura w kształcie centaury. Niósł w rękach rozgrzane żelazko i głośno się śmiał.

Anna Rau



Fot. Własnie Olsztyn

Każdy wieżowiec w centrum takiego miasta jak Olsztyn wzbudza zainteresowanie i dyskusje. Całkiem niedawno głośno było o Warmia Towers, słyszało się: Takie „tałers”, jakie miasto. Czarna szklana bryła i „drapacz chmur” wzbudzały emocje. Wybudowali – uciхло. . . . Mitologiczny centaur nigdy nie odznaczał się dobrymi manierami, czego więc można było spodziewać się po budowie przy al. Piłsudskiego. Centaurus wpłynął na olsztyńskie wody niczym wycieczkowiec do Zatoki Koterskiej. Zaczął się obracać i utknął tu na zawsze.

Najwyższy budynek w Olsztynie wyrósł na miejscu sadu. Zdżiczące jabłonie pamiętały to miejsce jako koniec miasta, za którym pączkowały kolejne dzielnice. Tuż obok pojawił się kompleks – planetarium, BWA i Andromeda, która przekształciła się w Planetę 11. Sad był enklawą zieleni w koncepcji Miasto Ogród.

Do czasu.

Miasto sprzedało działkę i tuż pod planetarnym okiem zaczął rosnąć On. Jego szkielet pięł się do góry niczym pędy czarodziejskiej fasoli, która miała sięgnąć nieba. Nie dotarł tam, za to zaczął rozrastać się na boki.

Wycieczkowiec widać z Placu Solidarności. Dryfuje widoczny z ulicy Knosały, z bloków na Narutowicza, Warszawskiej, 1 Maja, ze Słonecznej Polany.

Obserwuję Centaury jednym okiem. Drugie, szklane, odbija w sobie jego szklaną elewację, szuka kolejnego szklanego punktu zaczepienia, który już wkrótce wzbudzi nasze zainteresowanie. Rozgorzeją dyskusje i tak historia miasta będzie się toczyć, albo raczej wznosić.

Iwona Bolińska-Walendzik

KATARZYNA GUZEWICZ

Historie profesora o Emilii Sukertowej-Biedrawinie

W ubiegłym roku Wojewódzka Biblioteka Publiczna świętowała 70-lecie istnienia. Z tej okazji na czytelników czekało wiele niespodzianek: robiliśmy książkowe podsumowania poprzednich dekad, przypominaliśmy archiwalne artykuły dotyczące biblioteki, a znani i lubiani składali nam życzenia. Przed obchodami jubileuszu spotykaliśmy się na burze mózgów, a pomysł „wskrzeszenia” naszej patronki, która w formie hologramu przechadzałaby się po Scenie Staromiejskiej, wydał mi się wyjątkowo niesamowity i mam nadzieję, że kiedyś będzie można go zrealizować. Z okazji rocznicy przeprowadzałam również krótkie wywiady krążące tematycznie wokół biblioteki, czytelnictwa i książek.

Pewnego gorącego dnia (to był chyba lipiec) Elżbieta, koleżanka z działu, wpadła na świetny pomysł, żeby bohaterem takiego wywiadu uczynić profesora Janusza Jasińskiego. Znał on Emilię Sukertową-Biedrawinę, bo z nią pracował! Takiej okazji nie mogłam przepuścić. Profesor zgodził się odpowiedzieć na jubileuszowe pytania. I zaczęło się! Dziwiło mnie trochę, że profesor potrzebował tak dużo czasu na kilka pytań, podczas gdy niektóre z przepytanych osób odsyłały odpowiedzi w godzinę. W końcu okazało się, że profesor Jasiński pisze książkę o... naszej patronce. Jego wspomnienia były tak obszerne, że zostały wydane przez WBP.

Nasz bohater przełał na papier swoje losy zawodowe i prywatne. Profesor doktor habilitowany Janusz Jasiński urodził się w Wołominie 4 września 1928 r. W 1949 roku, po maturze, wybrał się samotnie rowerem na Warmię i Mazury. W Warszawie krewni skutecznie odradzili mu dalszej wyprawy. Nasze tereny miały wówczas kiepską opinię. Mówiono mu, że jeśli nawet ujdzie z życiem, to z pewnością straci rower. Studia historyczne przyszyły profesor ukończył na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Jako student odwiedził Warmię w dość nietypowy sposób. Kajakiem z południowej Polski dołynął do Torunia, stąd koleją dojechał do Olsztyna, a dalej łyną do Smolajna. Po studiach przyjechał do Olsztyna i podjął pracę w Stacji Naukowej Polskiego Towarzystwa Historycznego. Jego szefową okazała się sama, wcześniej wspomniana, Emilia Sukertowa-Biedrawina. Nasza patronka była oryginalną kobietą, tytanką pracy, ale miała też swoje humory... Zapytana któregoś dnia przez żonę profesora, jak się czuje, odparła, że dobrze, bo „dokucza już mężowi”. Sukertowa-Biedrawina stosowała zasadę ograniczonego zaufania do swoich pracowników. Gdy zdrowie lub obowiązki nie pozwalały jej sprawdzać, jak przebiega praca Stacji Naukowej, do tego celu wykorzystywała córkę, co ta robiła nader niechętnie. Więcej wspomnień i ciekawych historii znajdziecie w książce profesora Jasińskiego. Publikacja jest dostępna w WBP.

Janusz Jasiński, *Wspomnienia o Emilii Sukertowej-Biedrawinie oraz o bibliotece – sąsiadach w Starym Ratuszu Olsztyna*, Olsztyn 2021.

Fot. Emilia Sukertowa-Biedrawina, 1962 (zdjęcie przekazane przez prof. Marzenę Wilamowską-Korsak, wnuczkę patronki, do zbiorów WBP w Olsztynie)



Fot. z archiwum projektu MATKA

Idea

Na każdym kontynencie, w każdej społeczności, w sercu każdego z nas MATKA zajmuje specjalne miejsce. Mamy różne wspomnienia związane z mamą – dobre i te, które do tej pory boją. Nigdy nie jest za późno na ich zbieranie. Wystarczy pogrzebać w rodzinnych pamiątkach, a jeżeli takich nie ma, to warto poszukać w głowie, a potem tylko usiąść, wziąć kawałek papieru, ołówkę i wydobywać z niepamięci te skrawki życia, które związane z matką rezonują jeszcze w naszej głowie, naszym sercu, ciele i spisać tę burzę mózgu. A jeżeli nic w nas nie rezonuje, zacząć od faktów. Od ulubionej potrawy, która wychodziła spod spracowanych rąk matki, albo od piosenki, którą nuciła lub śpiewała do snu, albo od wciąż powtarzanych przez nią morałów. Otworzy się przepaść pamięci, a wtedy tylko wziąć spadochron albo ulepić skrzydła i podryfować na fali wspomnień. Dobrych wspomnień. Bo projekt MATKA to antyterapia, afirmujemy dobre wspomnienia.

MARTA ANDRZEJCZYK – olsztynianka, pieśniarka, animatorka społeczno-kulturalna, menadżerka kultury, aktorka Białego Teatru w Olsztynie. Współzałożycielka grupy literacko-muzycznej SCENA BABEL (1999), Kabaretu Piosenki Smutnej (2008) oraz Teatralnego Spichlerza (2009). Nagradzana w dziedzinie piosenki i aktorstwa, stypendystka Ministra Kultury i Sztuki, Ministra Edukacji Narodowej i Sportu, Marszałka Województwa Warmińsko – Mazurskiego oraz Prezydenta Olsztyna. W 2019 wyróżniona Odznaką Honorową za zasługi dla Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Człowiek Teatru 2007 nagrodzona przez Towarzystwo Kultury Teatralnej w Olsztynie za wybitne osiągnięcia w upowszechnianiu kultury teatralnej.

MARTA ANDRZEJCZYK

Spojrzenie pokoleniowe

Jak to się zaczęło?

Dawno temu, wraz z Białym Teatrem z Olsztyna, planowałyśmy zrealizować spektakl o naszych mamach. Na etapie wstępnych rozmów i poszukiwań literatury, ale i też zamysłu, aby każda z nas grała swoją matkę, poddałyśmy się i nasz projekt teatralny padł (a może znajduje się w poczekalni?). Od tamtego momentu temat dotyczący matki cały czas we mnie rezonował, a minęło dobrych parę lat. Drugie podejście do tematu MATKA miałam w 2020 roku, kiedy pomyślałam, że zachowam od zapomnienia wspomnienia mojej mamy, mojej teściowej i babci mojej córki, o ich mamach. Niestety przyszedł covid i nie znalazłam w sobie przestrzeni, aby to kontynuować. W 2021 roku zaproszono mnie do poprowadzenia spotkań w ramach warsztatów „Szytych na miarę” – projektu realizowanego przez Fundację Żółty Szalik we Fromborku. „Najpiękniejsze słowo matka” – tak brzmiała nazwa kilkutgodniowej pracy z seniorkami, której efektem była instalacja w przestrzeni miejskiej we Fromborku. Już wtedy okazało się, że praca nad maską, mówienie o mamie, wywoływało skrajne emocje uczestniczek, ale też wielokrotnie porządkowało wspomnienia, oczyszczało atmosferę. Miało więc charakter nieco terapeutyczny, na wskroś twórczy, a efekt przeróst oczekiwań pań, a tym bardziej moje.

Wiedzioną tym sukcesem zgłosiłam projekt MATKA do Desantu Kultury realizowanego przez Miejski Ośrodek Kultury w Olsztynie. Propozycja została przyjęta. I tak od listopada 2021 do maja 2022 wraz z kilkunastoma uczestniczkami spotykamy się co najmniej raz w tygodniu na dwu-, trzygodzinnych warsztatach i działamy.

Tworzyłyśmy gipsowe maski swoich twarzy jako odzwierciedlenie tego, co po mamie zostało najpiękniejsze – my – córki. Tworzymy kolaże ze starych fotografii, zbieramy przepisy i uczymy się nimi dysponować z pomocą Agaty Grzegorzczak-Wosiek (autorki bloga „Przepisy ze śpiewnika”). Pod okiem nieocenionej Agnieszki Kacprzyk (pisarki) szlifowałyśmy warsztat przekładania myśli na papier. Stworzyłyśmy też pramatkę – obraz 160 x 160 cm metodą neurograficzną pod okiem Magdy Kiluk (neuro coacha). Efekt naszej pracy będzie można zobaczyć wkrótce w Olsztynie. O tym już niedługo...

MONIKA STĘPIEŃ

Supra speculum

To niezwykle miejsce. Możemy go dotknąć, ale nie możemy do niego wejść. Widzimy jednak, co się w nim kryje — zupełnie podobne, trochę przekrecone. Lustro — centrum magicznych światów, wierzeń i niezwykłych teorii.

Lustra, które znamy w obecnym kształcie, nie były jedynymi w domach — zdarzały się wypukłe i wklęsłe (używane nawet przez malarzy tworzących tak, aby to właśnie dopiero w zdeformowanym lustrze dało się obejrzeć obraz), jednak szklane pojawiły się w Europie dopiero w XIII wieku. Towarzyszyły ludziom w każdej dziedzinie życia — od praktycznych funkcji (takich jak możliwość przejrzenia się lub dekoracja ścian) po mityczne przedmioty pełne magii. I to na tej drugiej funkcji się skupimy.

Jak pisał Jan Lechoń: „pytasz, co w moim życiu z wszystkich rzeczą główną, powiem ci: śmierć i miłość — obydwie zarówno” — tak i większość ludzi poświęcała swoje myśli właśnie tym dwóm sprawom. Pomocne w wielu przypadkach okazywało się właśnie lustro. I choć czasem odbierało zmysły pytającemu, chętnych nie brakowało. We Francji w nocy z 24 na 25 listopada (w krajach słowiańskich z 29 na 30 października) pytano o miłosną przyszłość, patrząc w oczy lustrzanemu odbiciu. Jeśli jednak nie widzieliśmy swojego obrazu, odpowiedź była dla wielu jedna — jesteśmy wampirami. I to takimi z krwi... a na pewno z kości! Być może dlatego tak wiele mówiło i pisało się o tym, że zwierciadła potrafią kumulować w sobie dobrą i złą energię (a nawet przekazywać ją każdej przeglądającej się w nich osobie).

Jeszcze dwieście lat temu, głównie w wiejskich domostwach, nie wieszano luster. Jeśli już jednak jakieś się pojawiło, umieszczano je na tyle wysoko, by nie mogły w nim przeglądać się dzieci. Niemile widziane było także wpatrywanie się w nie przez młode dziewczyny. W obu przypadkach bano się, że patrzący wyrośnie na kogoś paradnego, tj. lubiącego się stroić. W Polsce istniało także niebezpieczeństwo ujrzenia Dytki (zwanego także Dydo lub Didko), słowiańskiego demona, który ukazywał się i straszył dziewczęta. Tak samo niebezpieczna była tafla wody, zarówno tej ze stawu lub jeziora, jak i naczynia — tu na spoglądających zacząć mógł się utopiec.

Już wiek później z przyjemnością korzystano z lustra i podziwiano w nim swoje stroje i fryzury, tym samym czyniąc je niezbędnym wyposażeniem każdego

domu. Wieszano je pod sufitem, odchylając górną krawędź w stronę pokoju. Te, które znamy dziś (wąskie, wysokie, typu tremo), pojawiły się w mieszczańskich domach około XIX w. Zarówno w wiejskich, jak i miejskich domach lustra tłukły się i w każdym domostwie na równi zwiastowało to siedem lat nieszczęścia. Co należało zrobić w takiej sytuacji? Najważniejsze to nie przeglądać się w żadnym z odłamków, a następnie zakopać na rozstaju dróg. Jeśli jednak możemy lustro tylko uprzątnąć i wrzucić do worka, należy do niego wsypać także garść cukru, garść soli, garść maku lub mieszanę zastąpić garścią okruszków chleba bądź jakiegokolwiek kaszy. A warto, bo już pierwsi Amerykanie ostrzegali, że lustra mają moc porywania ludzkich dusz, a Europejczycy, że zmarły krewny poprzez lustro może zabrać ze sobą w zaświaty dowolną żyjącą osobę! Do dziś w wielu polskich domach zastania się wszystkie lustra, kiedy w domu przebywa nieboszczyk. Wynika to z wiary w przesąd, że dusza ludzka nie odchodzi w zaświaty od razu, ale nawet do momentu złożenia trumny w grobie krąży po swoim miejscu zamieszkania.

Zwierciadła potrafiły jednak przynosić także radość. Jedną z najpopularniejszych zabaw weselnych z jego udziałem było tzw. sprzedawanie kotka. Dwóch młodych, przebranych za Cyganki, mężczyzn, z koszykiem nakrytym chustką krążyło po sali i zbierało datki. Żart polegał na tym, że w koszyku kotka nie było — chustkę podnoszono tylko przed młodymi dziewczętami, które na widok swojej twarzy uśmiechały się i żartobliwie zapewniały, że rzeczywiście w koszyku jest kotek. Do dziś wiele osób wierzy, że błyszcząca tafla jest w stanie odbijać uroki i złe klątwy oraz odpędzać koszmara. Energię luster łączy się z księżycem, który tak samo odbija światło Słońca, dlatego do magicznych rytuałów używa się tych okrągłych, przypominających satelitę Ziemi w czasie pełni. Zwierciadło potrafi zatem nie tylko nas zabezpieczyć, ale także chronić (np. odbijając urok w stronę rzucającego). I tak od polerowanego kamienia po warte kilkadziesiąt tysięcy euro lustra od Boca Do Lobo próbujemy wyczytać z nich przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. To, co kryje się po jego drugiej stronie, fascynuje pisarzy, malarzy, a nawet filozofów. I nawet jeśli to dla Was tylko zwykły przedmiot, to warto nosić niewielkie w kieszeni, bo kto wie, może kiedyś spotkacie bazyliuszka, którego trzeba będzie pokonać?

MAGDA I MARCIN

Właśnie Olsztyn

Profil Właśnie Olsztyn powstał w 2018 roku. Pomysł pojawił się w maju na spotkaniu Mobile Photo Trip, kiedy oprowadzaliśmy grupę fotografów mobilnych po Olsztynie. Pokazywaliśmy miejsca zarówno dostępne, jak i te niedostępne na co dzień. Spojrzeliśmy wtedy na Olsztyn z zupełnie innej strony. To było dla nas inspirowane. Postanowiliśmy stworzyć na Instagramie miejsce, które łączy mieszkańców Olsztyna i pokazuje piękno naszego miasta.

Wpisując na Instagramie hashtag #wlasnieolsztyn znajdziemy wiele wyjątkowych zdjęć. Pokazujemy stolicę Warmii i Mazur z najlepszej i najciekawszej strony. Największą przyjemność sprawia nam wspólne odkrywanie nowych miejsc na mapie Olsztyna. Jest tu wiele lokalizacji wartych uwagi! Dlatego od 2020 roku organizujemy Instameety. Jest to okazja do spotkania i wspólnego robienia zdjęć. Do tej pory odwiedziliśmy między innymi: Teatr Lalek, Filharmonię Warmińsko-Mazurską, Bibliotekę Uniwersytecką UWM, zajezdnię autobusową czy Kuźnię Społeczną. To niesamowite, jak uczestnicy w różny sposób postrzegają jedno miejsce. Instameety dają nam niepowtarzalną okazję poznania historii danego obiektu i sfotografowania jego zakamarków.

Marcin, który jest współzałożycielem Właśnie Olsztyn, a prywatnie prowadzi również profil na Instagramie @wlasniemojewlasne, uwielbia pokazywać Olsztyn z niecodziennej strony. Często zarówno na Instagramie, jak i na Facebooku można natknąć się na jego zdjęcia w odbiciu tafli wody. Nie bez powodu uważa, że najlepszy aparat to ten, który akurat masz przy sobie. W dzisiejszych czasach wielką swobodę daje fotografowanie smartfonem.

To co wyróżnia Właśnie Olsztyn to brak barier. Każdy jest u nas mile widziany. I nieważne, czy fotografujesz smartfonem czy aparatem. Nasza społeczność jest bardzo zróżnicowana. Niektórzy dopiero rozpoczynają swoją przygodę z fotografią, inni mają już trochę doświadczenia, ale są też tacy, którzy zajmują się nią na co dzień. Niepowtarzalna atmosfera spotkań sprawia, że każdy szybko odnajduje się w grupie.

Na profilu Właśnie Olsztyn na Instagramie można znaleźć również wirtualne wycieczki po Olsztynie, wyzwania tematyczne jak np. „Wiosna w Olsztynie” czy różnego rodzaju konkursy. Dlatego gorąco zachęcamy do odwiedzenia naszego profilu, a wszystkich Igersów, którzy już nas obserwują, serdecznie pozdrawiamy!



ANITA ROMULEWICZ

Najkrótsze legendy świata

Wydawać by się mogło, że etymologia, czyli nauka o pochodzeniu słów i ich znaczeniu, to nie jest najlepszy pomysł na książkę dla dzieci. A jednak profesor Michał Rusinek, polski badacz literatury i znawca twórczości Wisławy Szymborskiej, napisał *Wytrzyuszczkę*. Tym samym po raz kolejny udowodnił, że z dziećmi można rozmawiać o wszystkim, byle była zabawa. Nie straszne im bowiem zawitości onomastyki, jeśli mogą powyglupiać się przy wymawianiu nazw Jazgarzewszczyzna, Podrzujszcze albo Zaździebulichy. No i konia z rzędem temu, kto nie zaśmieje się w duchu przy warmińskich Pupkach, kaszubskich Swornychgaciach lub na dźwięk podlaskiej wsi Niemyje-Ząbki. To woda na młyn dla dziecięcej wyobraźni. Od razu wymyślą pięć wariantów (oczywiście tych niegrzecznych albo sprośnych) na nazwę swojej własnej miejscowości. Ktoś mógłby zapytać: no i po co to? Ano po to, aby od najmłodszych lat uczyć zadawania pytań, obserwowania świata i poznawania własnego miejsca na ziemi.

Przeglądając i czytając *Wytrzyuszczkę*, ma się nieodparte wrażenie, że autor, choć już całkiem dorosły, doskonale się bawił, gdy ją pisał. Oczywiście nie zmyśla w niej niczego jak kalkulek, ale w duecie ze swoją siostrą Joanną, autorką bardzo udanych, artystycznych ilustracji, stworzył książkę i przyjemną, i pożyteczną. Rodzeństwo zabiera swoich czytelników w podróż po śmiesznych, dziwnych i trudnych do wymówienia nazwach polskich miejscowości. Jak się przekonujemy, większość z nich kryje w sobie tajemnice. Autor przy każdej nazwie najpierw, jakby czytając w naszych myślach, wypowiada skojarzenia i pomysły, wciąga do językoznawczej zabawy, by chwilę później uprzejmie wyjaśnić, że jesteśmy... w błędzie. Pokazuje tym samym, że nazwa miejscowości to integralna część historii danego miejsca, która jest niczym najkrótsza legenda świata. Może kryć w sobie całą opowieść.

Wytrzyuszczka to nie pierwsza książka Michała Rusinka dla dzieci o języku polskim. Wcześniej napisał m.in. *Wihajster, czyli przewodnik po słowach pożyczonych, Psią skwętkę, czyli przewodnik po dziecięcych przekleństwach* i *Od mikmaka do zazuli. Atlas regionalizmów dla dzieci*. Z tej ostatniej np. można się dowiedzieć, że w Lubawie, gdzie ściekają pieski, fofelków bez liku. A co o Warmii i Mazurach mówi *Wytrzyuszczka*? Otóż Rusinka zaintrygowały m.in. miejscowości: Olsztyn i Etłk. Ten wybór nazw na pierwszy rzut oka ani nie dziwi, ani nie śmieszy. Jest jednak coś, co je łączy, podobnie jak wspomniane wcześniej Pupki. Wszystkie one są baardzo stare i nadane zostały przez dawnych mieszkańców naszych ziem. Olsztyn

to właściwie niemieckie Allenstein, czyli kamień nad rzeką Łyną (jeśli ktoś wątpi w zbieżność, niech spróbuje bardzo szybko wymawiać Allenstein). Z kolei Etłk to łek wymyślony przez plemię Jaćwiągów, dla których słowo to oznaczało białą lilię wodną (czyż nie pięknie?). A Pupki? Sami zdecydujcie, czy bardziej podoba się Wam niemieckie Puppe, czyli lalka, czy też staropruskie pup, czyli fasola.

W książce Rusinka znaleźć można najdziwniejsze nazwy, choćby takie, w których kryje się coś zupełnie innego, niż widać to gołym okiem. Dacie wiarę, że wieś Srokowo nie wzięła się od sroki? Ten przykład wydaje się tak samo ważny dla poznawania dziejów naszego regionu jak Olsztyn czy Etłk. Autor wyjaśnia cierpliwie swoim czytelnikom, że na Warmii i Mazurach w pewnym punkcie historii skądinąd ładne nazwy pruskie lub niemieckie zmieniono na polskie. Wtedy też dawny Drengfurth, lub prościej Dryfort, stał się Srokowem na cześć geografa Srokowskiego, który te nazwy zmieniał (hmm!). Ale nie martwcie się, w nazwie wsi Ameryka (tej koło Olsztynka) nie ma już żadnego podstępku. Tak, tak! Pochodzi od Ameryki, tej ze Stanami, Kanadą i w ogóle. Ale jest za to zaskoczenie, że Ameryk w Polsce jest aż... 24! Te i inne ciekawostki o polskich nazwach miejscowych wciągają jak każda kolejna książka Michała Rusinka, a *Wytrzyuszczka* to świetna zabawa dla całej rodziny. Choć ostatnia karta na końcu lektury otwarcie zaprasza dzieci do poznawania dziejów własnej miejscowości, to w rzeczywistości cała książka jest świetnym pretekstem do rozmów o historii także wśród dorosłych. Zdecydowanie ucieszyłaby niejednego pełnoletniego jako np. prezent, zwłaszcza tych, którzy potrafią docenić dobrą ilustrację. Joanna Rusinek za pomocą różnorodnych technik plastycznych wyczarowała małe dzieła sztuki. Każde jest pomysłowe, przemyślane i gustowne. Część z nich z powodzeniem dorównuje trudnej sztuce plakatu. Mnie osobiście oczarowały prace do nadmorskich miejscowości: Hel i Gdynia, choć szóstkę za poczucie humoru przyznaję Kampinosowi. Rysunek do Turka doskonale sprawdziłby się jako godna ozdoba gabinetu burmistrza tego miasta (swoją drogą, czy to nie zabawne, że miasteczko leży nad rzeką Kiełbaską?). Za to Niemyje-Ząbki w swojej prostocie to numer jeden.

Aha! i jeszcze jedno. *Wytrzyuszczka* to formalnie słownik. Subiektywny, ale nadal słownik. Powiecie, że nie ma nic nudniejszego niż zabawa spisem nazw miejscowych. Jednak to właśnie dystans autora do tematu oraz szczerze i uczciwe podejście do młodego odbiorcy gwarantują sukces jego książki. Do tego starannie przygotowana grafika i fofelki mają frajdę.

KAROL FRYTA

Piętnasta republika

Armenia, Azerbejdżan, Białoruś, Gruzja, Kazachstan, Kirgistan, Litwa, Łotwa, Mołdawia, Tadżykistan, Turkmenistan, Ukraina, Uzbekistan, Rosja. I teraz, wreszcie, odwiedziłem zimną Estonię.

Piętnaście republik tworzących niegdyś ZSRR. Piętnaście lat wycierania się po hotelach, prywatnych kwaterach, pociągach, autobusach, kanciapach, zdarzyło się nocować w domu kultury, meczecie, na stacji benzynowej. Tysiące przejechanych kilometrów, miliony anegdot, setki poznanych osób. Od niskorosłego mężczyzny w Uzbekistanie, który kręcił się między nogami w czajchanie, wybijając rytm na dziecięcym bębenu, po fryzjera z gruzińskiego Bordzomi, który wręczył mi na pożegnanie aluminiowy profil Stalina. Nieśmiertelna pamiątka, którą chowam tuż obok tadżyckich tiubietiek i puszek z nieistniejącego już kombinatu rybnego, leżącego nad konającym Jeziorem Aralskim.

W 2007 roku pierwsza była Ukraina. Kijów-Charków-Lwów. Do stolicy dojechałem tirem, którego prowadził absolwent architektury, miłośnik opery i niemeo kina niemieckiego. Wsiadłem na moście Patona, nad Dnieprem wisiat pomarańczowy andrut zachodzącego słońca. Z góry zerkąła stumetrowa Matka Ojczyzna. Oszołomiony hałasem ulicy i potęgą miasta wrosłem w ziemię. Stałem bezradny przez ponad godzinę, dopóki nie zjawiła się rudowłosa Lidia, u której zakotwiczyłem na dwa dni.

Po powrocie przestudiowałem mapę i stwierdziłem, że odwiedzę wszystkie kraje byłego ZSRR. Pociągały mnie przestrzeń, egzotyczne nazwy miast – Duszanbe, Bucharą, Erywań, Tbilisi. Nawet ten Mińsk wydawał się ciekawszy niż Rzym czy Barcelona.

Pierwsze wyprawy były wariackie. Chciałem się naogłądać pomników Lenina, socrealistycznej zabudowy, wykorzystać ten zniechędzony rosyjski, który w podstawówce próbowała wtłoczyć mi do głowy nauczycielka. Potem uzmysłowiłem sobie, że ZSRR to nie tylko kategoria geograficzna. I że to, co dla mnie jest atrakcją, dla wielu (choć nie wszystkich), którzy mieszkają w odwiedzanych krajach, jest smutnym i niechcianym dziedzictwem przeszłości. Wydaje mi się, że nauczyłem się szanować tę przeszłość, przyglądać się jej z większą uwagą. Wyjazdy stały się bardziej świadome, choć ciągle wyrzucam sobie, że nie dość wiem o miejscu, do którego jadę.

W 2010 po raz pierwszy – na razie jedyny – wydałem tysiąc złotych na bilet lotniczy. Do Gruzji nie latał jeszcze tani przewoźnicy, trzeba było się nagimnastykować, żeby dotrzeć na Kaukaz, co wiązało się z głębokim drenazem portfela. Oplacało się, bo zakochałem się w tym kraju bez pamięci, choć strułem się w trakcie tej wyprawy niemożliwie i Batumi wówczas nie kojarzyło mi się z herbacianymi polami, o których śpiewały Filipinki, tylko morderczym i długotrwałym rozwolnieniem. To jedna z miliona anegdot.

Czasem ktoś mnie pyta, gdzie podobają mi się najbardziej. To trudne pytanie, bo z wyjazdem jest jak z książką czy filmem. Inne rzeczy pochłaniały mnie dwadzieścia lat temu, co innego zachwyca teraz. Dlatego pielęgnuję wspomnienia z Gruzji i ją stawiam na pierwszym miejscu, mimo że bardzo zmieniła się przez kilkanaście lat. Tuż za nią plasuje się Tadżykistan, Ukraina i Turkmenistan.

Do 24 lutego 2022 roku ZSRR był dla mnie kategorią geograficzną i historyczną. Coraz bardziej odległą i chromą. Jak ten pomnik Lenina w Ust-Nierze w dalekiej Jakucji. Srebrny wódz rewolucji stoi (?) na cokole bez nogi. W Moskwie czy w Jekaterynburgu by to nie przeszło. Ale tam? 1917 rok to prehistoria, mamy tu własne problemy, miasto wymiera, nie doczekaliśmy się nawet asfaltu.

ZSRR jednak wrócił, dogonił mnie. Kto by pomyślał, że ta idea, kryta już coraz grubszą warstwą patyny, znów ożyje?

KAROL FRYTA – dziennikarz, reportażysta, podróżnik. Od kilkunastu lat podróżuje po byłych republikach ZSRR (Turkmenistan, Dagestan), od niedawna zafascynowany również Bliskim Wschodem (Irak, Iran, Turcja). Reportaże na temat swoich wypraw publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Rzeczpospolitej”, „Poznaj Świat” czy Wirtualnej Polsce. Słuchacz pierwszej edycji Studium Reportażu przy Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie, w ramach którego napisał reportaż „Siedem rozmów u źródła”, z którego dowiadujemy się, o co proszą pielgrzymi przybywający do Gietrzwałdu.

WIOLETTA ANUSZKIEWICZ, ZBIGNIEW MIERUŃSKI – STOWARZYSZENIE GOŁDAPSKI FUNDUSZ LOKALNY

Mazurskie okna pamięci

Na północno-wschodnim krańcu województwa warmińsko-mazurskiego, w powiecie gołdapskim i okolicach, od 20 lat działa Stowarzyszenie Gołdapski Fundusz Lokalny (GFL). Cele stowarzyszenia skupiają się na inicjowaniu i realizowaniu działań związanych z rozwojem społeczno-kulturalnym społeczności lokalnych. Impulsem do rozpoczęcia działalności GFL była chęć wspierania utalentowanej i aktywnej młodzieży studiującej poprzez przydzielanie stypendiów – program stypendialny o nazwie „Aktywny student” jest realizowany do dziś. Drugi, ważny punkt to program grantowy „Działaj lokalnie”, który jest realizowany od kilkunastu lat we współpracy z Polsko-Amerykańską Fundacją Wolności. Corocznie, poprzez dotacje, Fundusz wspiera finansowo działania innych organizacji realizujących projekty służące rozwijaniu dobra wspólnego poprzez kulturę i działania społeczne.

Stowarzyszenie realizuje szereg własnych projektów społeczno-kulturalnych od jednorazowych wydarzeń po działania i warsztaty długoterminowe.

Z inicjatywy i przy aktywnym udziale GFL powstały takie imprezy jak: święto sękacza w Żytkiejmach, Zażynki w Lisach (zainspirowane polskimi i ukraińskimi obrzędami związanymi z rozpoczynaniem żniw), festiwal natury i rzemiosła Eko-piknik w Gołdapi i Jarmark Bożonarodzeniowy. Działania te realizowane we współpracy z lokalnymi instytucjami i organizacjami pozarządowymi cieszą się dużym zainteresowaniem mieszkańców i turystów.

Od roku 2017 stowarzyszenie organizuje w Gołdapi międzynarodowy plener artystyczny „Północne światło Mazur”, podczas którego artyści plastycy i fotograficy z Polski i Litwy tworzą prace inspirowane przyrodą i historią Mazur Garbatych.

Fot. z archiwum stowarzyszenia



Fot. z archiwum stowarzyszenia

Poszukujemy, inspirujemy, a także wspólnie z mieszkańcami od 2020 roku realizujemy projekt „Mazurskie okna pamięci” pielęgnujący pamięć mieszkańców Mazur, kształtujący tożsamość kulturową, a także postawy tolerancji dla wielokulturowości. Działania projektowe przeprowadziliśmy w Budrach, Budzewie, Dubeninkach, Gołdapi, Kowalach Oleckich, Lisach, Pozezdrzu i Żytkiejmach. Efektem prowadzonych spotkań oraz warsztatów są ustawione w centrum każdej ze wsi kompozycje w formie okien, wypełnione przez mieszkańców kolażami wykorzystującymi zdjęcia z ich prywatnych archiwów. Instalacje odwołują się do wspólnej pamięci lokalnych społeczności, która kształtuje nas i przyszłe pokolenia, a także relacje międzyludzkie. Uczestnicy poprzez udostępnienie własnych zdjęć i swoich bliskich pokazują codzienne życie, wspólnie przeżywane uroczystości czy wydarzenia ważne dla całej społeczności. Okna są swoistymi

kronikami życia wspólnoty, wprawianymi w ruch przez wiejący wiatr historii. Zdjęcia pokazują, jak ludzie się ubierali, bawili, co było dla nich ważne oraz jak wyglądały wsie. Fotografie pomagają zachować wspomnienia chwil, zarówno tych co przynoszą radość i dumę, jak i smutek czy tęsknotę. Uzupełnieniem instalacji są katalogi i filmy, będące słownymi komentarzami do powstałych kolaży.

Gołdapski Fundusz Lokalny od 2020 roku tworzy partnerstwo „Kultura dla przestrzeni” oparte o współpracę organizacji, przedsiębiorców, osób indywidualnych i instytucji kultury działających na terenie Gminy Gołdapi. Partnerstwo w ramach działań pielęgnuje przedwojenną i powojenną historię ludzi i miejsc. Wspólne działania partnerów zaowocowały ustawieniem i odstonowaniem pięciu tablic, zawierających wielkoformatowe fotografie przedwojennej zabudowy, wydrukowanych na pleksi i zamontowanych na stylizowanych konstrukcjach. Tablice zadrukowane zostały od dołu do połowy. Górna ich część jest przezroczysta, co pozwala na wzrokowe porównanie historii z teraźniejszością. W ramach działań w przestrzeni publicznej ustawiono też 5 cokołów z mosiężnymi tablicami przedstawiającymi nieistniejące już budynki z okresu międzywojennego. Cokoły swym kształtem nawiązują do tzw. „zębów mazurskich”. Tablice i cokoły stały się trwałymi elementami miejskiego pejzażu Gołdapi. Partnerstwo „Kultura dla przestrzeni” pielęgnuje też historię niepiśaną, organizując spotkania, wywiady i tworząc nagrania z najstarszymi mieszkańcami powiatu gołdapskiego. Działania stowarzyszenia służą budowaniu tożsamości lokalnej i dumy z miejsca zamieszkania.

TADEUSZ BURNIEWICZ

INTENSYWNOŚCIOMIERZ 1976

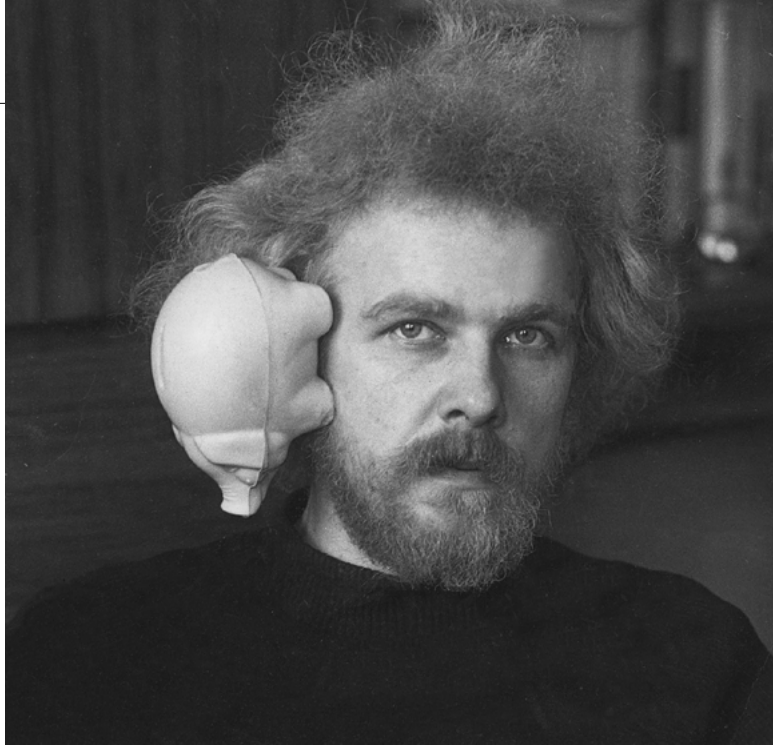
W latach 70. istniał w Polsce bardzo ożywiony nurt konceptualny: spotkania, sympozja itp., na których artyści prezentowali swoje przedsięwzięcia.

Na „Symposium Sztuki Konceptualnej” w Trzciance wygłosiłem tekst ze świnką skarbonką przypiętą do głowy.

Tekst wystąpienia w Trzciance

Powstaje właśnie nowe urządzenie, które jak żadne inne ulepsza życie — dostownie. Nie chodzi tu o jakieś ułatwienie, usprawnienie, ale o zmianę życia na lepsze. Kształty tego przedmiotu doskonale harmonizują z każdą głową, co wcale nie jest takie obojętne, gdyż intensywnościomierz nie tylko życie człowieka ulepsza, ale też upiększa jego samego.

Spód urządzenia pokryty jest przyssawkami, nimi przysysa się do głowy i w ten sposób tworzy z nią jedną całość. Urządzenie to wykonuje dwojakiego rodzaju operacje. Po pierwsze — mierzy intensywność życia duchowego i umysłowego, różnego rodzaju napięcia, wzmoczenia, różne stany intensywne. Po drugie — przetwarza jednostki intensywności na pieniądze. Przeliczenie jest proste — jedna jednostka intensywności równa się jednej złotówce.



Fot. Mieczysław Wieliczko

Osobnicy, którzy chcieliby symulować stany intensywne, różni chałturnicy, ludzie pozbawieni uczuć, męty społeczne grzebiące się w jakichś podejrzanach wojennych zajęciach z chciwości i dla kasy — wszyscy oni będą karani za swoje czyny i stany. W urządzeniu zainstalowano niezwykle czuły mechanizm, który wykrywa przewinienia i wlepia mandaty.

Wreszcie ten twarzowy przedmiot odmieni rzeczywistość, skończy z brudną walutą, z korupcją, z wojnami, otworzy też nasze oczy na to, czy praca, którą wykonujemy, ma sens, czy może nie.

Wyplata przebiega w sposób następujący: w urządzeniu jest szparka, przez którą do zawieszonego na uchu pojemnika stale cieką pieniądze. Co jakiś czas trzeba ten pojemnik opróżniać. Rzecz jasna, że w okresach intensywnych trzeba to robić częściej.

Powszechne użycie tego urządzenia spowoduje wielkie zmiany w życiu każdego człowieka. Również jego otoczenie ulegnie zmianie na korzyść. Ziemia, powietrze, niebo — cała przyroda odetchnie. Wiele instytucji związanych ze sztuką i z rynkiem sztuki zniknie. Sztuka odżyje i wreszcie nie tylko wielkie sumy będą robić wielkie wrażenie.

Fot. Mieczysław Wieliczko

MAGDALENA WĄLKUSKA

Obraz własny na szklanej płycie

Archiwum Muzeum Warmii i Mazur, posiadające w swoich zbiorach zabytki fotograficzne, powstało w pierwszych powojennych latach z inicjatywy dyrektora Hieronima Skurpskiego. Zajmowało się zarówno gromadzeniem i inwentaryzacją przedwojennych negatywów, jak i bieżącą dokumentacją zatrzymującą w kadrach wygląd zastanych oraz trafiających do placówki obiektów. Trudna sztuka fotografowania przedmiotów archeologii, rzemiosła artystycznego czy etnografii wymagała od pracowników wysokich umiejętności technicznych, a także zmysłu artystycznego ułatwiającego pozyskanie przestrzeni i trójwymiarowości eksponatów. Jednym z pracujących dla instytucji specjalistów był Alojzy Ignacy Kuraczyk, z wykształcenia nauczyciel przedmiotów ścisłych. Związany z instytucją od 1952 roku wykonał dla Muzeum około dziesięciu tysięcy negatywów, wykorzystywanych do dziś w publikacjach, traktujących o historii regionu.

Ten wybitny dokumentalista pozostawił w zbiorach archiwum także dziesięć autoportretów. Prezentowany w tekście przedstawia szczupłego mężczyznę o surowym, pełnym powagi, a zarazem pewnym spojrzeniu. Zauważamy inspirację niemiecką fotografią portretową, w której tors siedzącej osoby jest jedynie cokołem dla osadzonej głowy, a ona sama stanowi obramienie oczu, wyrażające ducha modela. Ta forma uwieczniania kładła nacisk na beznamiętny wyraz twarzy, gdyż uśmiech mógł wskazywać na brak uwagi i opanowania. Pozostałe autoportrety oddają podobny nastrój, różniąc się przyjemnymi przez modela pozami.

Dlaczego zdjęcia Kuraczyka są szczególne i warto o nich pisać? Odpowiedzią na pytanie jest zastosowana technika. Nośnikiem autoportretów są szklane płyty o wymiarach 9×12 centymetrów. Szkło stanowiło jedno z pierwszych podłoży fotograficznych wykorzystywanych od połowy XIX wieku. Podatne na uszkodzenia mechaniczne, wibracje, różnice temperatur, destrukcyjne działanie wilgoci i zanieczyszczenia powietrza było z czasem wypierane przez odporniejszą, elastyczniejszą i tańszą w produkcji błonę światłoczułą. Problem stanowiły również kwestie

związane z logistyką; transport niewygodnych i ciężkich płyt stanowił nie lada wyzwanie dla fotografa pracującego poza atelier. Technologiczną batalię o masowego użytkownika szkło przegrało, niemniej profesjonalści cenili fotografie wykonane na ww. materiale za trwałość, ostrość oraz kontrastowość uzyskanego obrazu. Jeszcze w latach 80. i 90. XX wieku wykorzystywano je do zdjęć fotogrametrycznych, gdyż potrafiły w sposób szczególnie dokładny, nie narażając obrazu na drgania, oddać faktyczny stan chociażby zabytku architektonicznego. W zbiorach Archiwum Muzeum Warmii i Mazur znajduje się około trzech tysięcy szklanych płyt. W większości przypadków stanowią reprodukcje książkowe i archiwalne, dokumentację architektury sakralnej oraz pałacowej, drewnianego budownictwa i kapliczek przydrożnych regionu. Portretów, a w szczególności autoportretów, posiadamy zaledwie kilkadziesiąt egzemplarzy, głównie poniemieckich. Nie trzeba dodawać, że w dobie cyfrowej sztuka fotografowania przy pomocy szklanych klisz jest znana zaledwie garstce miłośników „malowania światłem”, co jeszcze bardziej podkreśla wyjątkowość techniki.

Fot. Alojzy Ignacy Kuraczyk z archiwum Muzeum Warmii i Mazur



ALEKSANDRA DOBIES

Dom, którego nie było

Wpadam zdyszana w ostatniej chwili i siadam ciężko na wolne miejsce. Spoglądam przez okno na chmury, które osiadły na brudne ściany miasta. Jeszcze tylko trochę w zatłoczonym tramwaju, szybki spacer i zamknę za sobą drzwi. Zrzucę dzień z barków. Przysmykam na chwilę oczy, oddech się uspokaja po codziennym biegu spóźnionych.

— Kochanieńka, mogę tu obok. Moja malutka jest grzeczniutka — wpatrują się we mnie wyblakłe oczy staruszki. W pogniecionych rękach trzyma psa.

— Oczywiście, proszę — przysuwam się nieznacznie do okna, zgarniając swoje torby.

— Wie pani, musiałam pojechać do spółdzielni, bo ja to tak lubię wszystko mieć opłacone na już. Nie to, że czekać.

Oho, gaduła — myślę i kiwam głową ze zrozumieniem. Jednocześnie odpycham chęć otwarcia książki, aby jak zwykle poczytać w drodze.

— A co tam za książkę pani czyta? — nie odpuszczam.

— Takie baśnie wschodnie. Rosyjskie — dodaję niechętnie po chwili.

— Mhmm, no tak, co tam się dzieje. Jak oni tam się nazywają.

— Ukraina?

— Tak, tak. Wie, pani, bo ja z Białorusi przyjechałam. Dwanaście lat miałam. Tam kiedyś Polska była. Tatuś musiał się ukrywać, braci rozstrzelali na jego oczach. A my we dwie byłyśmy i mamusia, to tatuś musiał się ukrywać dla nas. Ruskie to okropne rzeczy robili i teraz też. Moja ciocia była dobra kobieta — siostry, Wiesia i Jadzia pojechały do Rygi, bo ich synowie to na uczelni chcieli pracować, wie pani? I ja do nich dzwonię, a tu telefon milczy. Jakby ich nie było. A oni tam przecież są. Nie wiem.

Tramwaj się zatrzymuje, kobieta podnosi się nieznacznie. Patrzę w rozmyte przeszłością oczy, na twarz poznaną przebytą drogą i usta, które wypuszczają słowa pożegnania:

— Dobrych ludzi Ci życzę, kochanieńka.

— Do widzenia — szepczę i patrzę jak skulona postać kroczy ku wyjściu. Drzwi zamykają się i kruchy cień rozmywa się w miejskim tłumie przystanków.

Było późne popołudnie, skwar wciąż wlewał się pod ubrania. Dziadek osiodłał konia i podpiął do niego wóz. Usiadł na przodzie, a my z Werką wdrapałyśmy się na tył, chropowate drewno wbijało się w gołe nogi. Pośliniłam palec i przytknęłam do czerwonych bąbli na udzie. Na całym ciele miałyśmy z siostrą ślady po ukąszeniach komarów, które

były równie spragnione jak my po kolejnych upalnych dniach sierpnia. Rozdrapywałam je zapamiętałe przed snem lub tartam nogę o nogę. Nic nie pomagało. Czasami tylko ślina, jak teraz.

Ruszyliśmy po miękkim piachu krętej drogi, chowając się w cieniu drzew. Wóz kołysał się delikatnie, po twarzach przemykały ostre promienie przeciskające się przez powykrzywiane konary. Nie byłyśmy z Werką zachwycone ślęczeniem na polu, ale przejażdżka była lepsza niż snucie się z kąta w kąt. Kiedy później pot zlepił kosmyki włosów i przykleił do czoła, że złością odrzuciłam grabie na kupkę siana. Zerknęłam spod zmarszczonych brwi na dziadka, jego wątle ciało oplatała flanelowa koszula. Nie mogłam pojąć, jak on może wytrzymać w tym ukropie spętany grubym materiałem.

— Jak byłem chłopak — dziadek pochyla dłoń ku ziemi — tom pasał krowy. Jak tu, na polu. Nagle ziuuu, ziuuu, nad głową takie wielkie ptaki. To Niemiec samolotami latał. To my w trawę, na płasko, przy ziemi.

Milknie, oczy mruży w uśmiechu. Jak wtedy, gdy wydaje mu się, że raczy nas zabawną historią. Patrzymy na siebie z Werką, ta wzrusza ramionami. Sięgamy po grabie i zaczynamy w ciszy pakować siano na wóz. Trzeba się pospieszyć, aby zdążyć przed zmrokiem.

Przy domu, tuż na niewielkim wzniesieniu, stoi drewniany krzyż. Co roku do jego ramion przypinamy kolorowe wstążki, które powiewają na wietrze. W ciepłe, majowe wieczory obdrapuję farbę z kutego ogrodzenia ustawionego wokół krzyża. Niekiedy ze skupieniem liczę kolorowe pomponiki na białym swetrze. Nad moją głową rozbrzmiewają głosy kobiet, które wznoszą modły do Matki Wszystkich Matek. Później będę wymykać się z domu tylnym wyjściem, bo przecież tak nie wypada, ale jak nikt nie widzi, to i Bóg wybaczy. Na majówce nie ma mężczyzn, ale może oni mają wybaczone tak z góry? Nie wiem.

Za tym krzyżem jest taka niewielka polanka z usypanymi kopcami, gdzie trzymamy to, co udało się zebrać jesienią. We wrześniu robi się tu gwarno, jak pod krzyżem w maju. Nasz kopiec jest najbliżej, z widokiem na dom. Siadam w dole rozkopanej ziemi i ścian usypanych z zebranych wcześniej ziemniaków. Dobre, do sadzenia, zgniłe, dobre, do sadzenia, zgniłe. Patrzę na wprawne dłonie babci, za paznokciami zbiera się czerń brudu.

— Mieliśmy taki dom. A co tam, większy. Cały nasz, a nie jak ten, z tymi — ruchem głowy wskazuje część sąsiadów. — Tato jeździł do Ameryki, to i dom mieliśmy piękny. Miałam taką koleżankę, bawiliśmy się na strychu. Ona się kręciła, wychyliła przez okno i pac, wypadła. Myśmy do okna, a ona leży jak nieżywa na ziemi. Rabanu narobiliśmy, ja w płacz, a ona jak zając poderwie się i tyle żeśmy ją widzieli — babcia rechocze pod nosem, brzuch faluje jej miętko na kolanach.

— A potem — ciągnie po chwili — kazali nam się pakować. A co można na wóz zabrać? Jechali my z tych Bieszczad, wysadzili na stacji i kazali czekać na przydział. Na nowy dom.

Zamiast krzyża jest murowana kapliczka, z plastikowymi okienkami. Takimi pod skosem, bo wioskowy fachura był lekko zawiany przy robocie. Trochę jak te majowe wstążki na wietrze. Gdy siedzę na werandzie, mogę jednocześnie słuchać rozmów dobiegających z głębi domu i mieć na oku córeczkę bawiącą się na podwórku.

— Mamo, patrz, łączy nas taka wstążeczka, ale nie na prawdziwo.

— Tak, a co to za wstążeczka?

— Taka, że jesteśmy zawsze razem.

Patrzę na swoje dłonie. Między palcami mam wplątą cieniutką nitkę. Z jej delikatnych włókien skrzy się czerwień ulanej krwi minionych i tej, która jeszcze rytmicznie pulsuje. Wrywam włos z głowy i wplątam w nią drobinę swojej pamięci. Czuję jak jest krucha i delikatna, ostrożnie płacząc obie ze sobą i puszczam wolno. Jej końce trzepoczą na wietrze, niepewne dokąd uniesie je kolejny podmuch.

ALEKSANDRA DOBIES (ur. w 1988 r. w Morągu) — absolwentka filologii polskiej na UWM w Olsztynie. Autorka licznych artykułów oraz recenzji literackich; jej teksty publikowane były w mediach regionalnych oraz specjalistycznych. W 2021 r. debiutowała baśnią *Uroczyska*, za którą otrzymała Literacką Nagrodę Warmii i Mazur — Wawrzyn Czytelników.



Fot. Wasilije Olsztyn

1901-1972

BALBINA ŚWITYCZ-WIDACKA

mazurski wiatr

CAŁUJE

fale jezior...

rzeźbiarka i poetka

autorka blisko 1000
rzeźb i wierszy

VariArt 2022